


# HISTERIA

Wpadniesz w nią i TY

WRZESIEŃ 2023/5

magazynhisteria.pl



CZEKAJĄCY  
DZIECIŃSTWO OKRĄGLE JAK CUKIERKI  
MASZYNY VON NEUMANNA  
NIE BÓJ SIĘ ZASNAĆ  
OBCE CIAŁO  
ROBOT  
WIDMO ZE SKRZYŻOWANIA LEGIONÓW  
ZIARNO

# SPIS TREŚCI:

CZEKAJĄCY	Aleksandra Paprota	3
DZIECIŃSTWO OKRĄGŁE JAK CUKIERKI	Nikto0	14
MASZYNY VON NEUMANNA	Mariusz Kaszyński	25
NIE BÓJ SIĘ ZASNAĆ	Kamil Bęben	59
OBCE CIAŁO	Rafał Christ	74
ROBOT	Michał Lipka	89
WIDMO ZE SKRZYŻOWANIA LEGIONÓW	Olga Zegartowska	97
ZIARNO	Marcin Grablewski	112

**Redaktorzy naczelni:** Błażej Jaworski, Maciej Zawadzki

**Okładka:** Joanna Halerz

**Skład:** Maciej Zawadzki

**Ilustracje:** Michał Antosiewicz, Ilona Bielicka, Halmar, Krzysztof Kowalik, Zvyrke

**Korekta:** Aleksandra Knap, Magdalena Paluch

email: [magazynhisteria@gmail.com](mailto:magazynhisteria@gmail.com)

Prawa autorskie do poszczególnych opowiadań oraz ilustracji są własnością ich autorów.



# CZEKAJĄCY

Aleksandra Paprota

Stał za rogiem bloku. Ostatnio czasem się tam pojawiał, przede wszystkim wieczorami. Postał chwilę i zniknął. Był niby taki zwyczajny. To znaczy, że niczym szczególnym się nie odznaczał i nie różnił od znajdujących się po drugiej stronie murów mieszkańców. Tylko po co tak stać? Czemu akurat

w tym miejscu, pod typowym budynkiem, w typowej dzielnicy-sypialni jednego z wielu miast?

Czy na kogoś lub na coś czekał? Tego nikt nie wiedział. Nikt więcej się nie pojawiał i nic szczególnego się nie działo – poza tą nieplanową obecnością, w dosyć przypadkowym miejscu. To (zdawałoby się) drobne wydarzenie wywoływało jednak znaczącą zmianę. Mieszkańcy budynku nie przyzwyczajali się do tego niecodziennego widoku „obecności”, choć może na to właśnie liczył ów mężczyzna?

Wprost przeciwnie, każda wizyta dokładała ziarenko goryczy, irytacji i niezrozumienia.

Za każdym razem, gdy przybysz został zauważony pod blokiem, mieszkańcy czuli trudny do określenia niepokój. Już pierwsza wizyta zasiała we wnętrzach szanowanych obywateli nasionko, które z powtórным pojawieniem się nieznajomego zakiełkowało, a z każdym kolejnym rosło, przybierając postać pnącej się niebezpiecznie po zakamarkach duszy trującej rośliny.

Co prawda ta nagła nieuzasadniona obecność nie była zakazana, ale wyraźnie uwierała, powodując przewlekły dyskomfort. Wizyty pod blokiem stawały się częstsze i nigdy nie było wiadomo, w jaki dzień przybysz się pojawił. Ta nieregularność, połączona ze zmienną częstotliwością, wprowadzała do idealnie zorganizowanego i perfekcyjnie przewidywalnego życia element nieprzyjemnego napięcia, którego zalecano unikać celem maksymalizacji poczucia szczęścia.

Po co przebywać na ulicy, gdy nie ma takiej potrzeby?

To zachowanie wykraczało poza ramy racjonalności i przyjętych standardów rozumowania, czym jest dobre życie. W czasach dobrobytu wszystko znajdowało się w domu. Wszędzie można było dotrzeć drogą wirtualną, a materialna rzeczywistość pełniła funkcję opcji awaryjnej.

Po co było niepokoić bliźnich swoją obecnością?

Przecież wystarczyło cieszyć się własną przestrzenią, partnerem i dziećmi, którzy przysługiwali każdemu, kto spełniał naprawdę niewygórowane wymagania.

Co ten ktoś chciał przez to osiągnąć? Dlaczego uparcie powracał? Musiał wiedzieć, że kamery rejestrują każdy jego ruch i alarmują, gdy się pojawia. Dlaczego więc tak uparcie wystawiał się na widok publiczny?

*Istniej dla siebie. Bądź prywatny. Nie musisz nikomu udowadniać, że istniejesz.*

Czy podstawowa, powszechnie akceptowana etykieta nie zakładała dyskretności?

Ależ przecież tak było! Więc dlaczego...

Mieszkańcy nerwowo zerkali zza firanek. Może coś się popsuło? Może obraz z kamery im się przywidział? Nie. Mężczyzna stał „tak jak zwykle”, wyraźnie zaznaczając swoją obecność, a co gorsza na przybliżeniu kamery widać było, że ekran telefonu, w który tak zawzięcie klikał, jest czarny, nie ma na nim żadnej treści. Kultura marnowania czasu już przeminęła, a na Zewnątrz wychodziło się w konkretnym celu lub w sytuacji zagrożenia, gdy już naprawdę nie można było utrzymać istnienia *prywatnym*. A do tego ten telefon. Po co udawać, że się z niego korzysta i to w tak nieudolny sposób?

Nachalna ostentacyjność istnienia nie dawała spokoju przykładnym obywatelom.

Co ten ktoś knuł? Czy próbował ich sprowokować? Doprowadzić do utraty zmysłów? Zanegować ich styl życia i prawdy, w które wierzyli? Podważyć wartości stanowiące podstawę społeczeństwa?

Tym razem przebieg wydarzeń nieco się jednak różnił, co jeszcze bardziej wzbudziło czujność nerwowo zagląających w obraz kamery czy NAWET przez okno.

Nie minęło kilka minut, a na ulicy ukazał się ktoś jeszcze. Co go tu sprowadzało? Postać nie zamieniła z czekającym ani słowa. Nawet na niego nie spojrzała, jak gdyby czyjaś obecność w przestrzeni publicznej była na porządku dziennym. Postać usiadła – opierając się o ścianę budynku. I tak siedziała – nieruchomo patrząc przed siebie. Czy widziała coś, co było niedostrzegalne dla mieszkańców budynku? Nie mogła!

Pusty wzrok postaci przyprawiał o dreszcze. Pozostawała ostentacyjnie bezproduktywna i nawet nie czyniła pozorów, że ma tam coś do roboty, że jest jakiś powód jej pojawienia się.

Czekała.

Na co? Na kogo? Dlaczego?

To nie mógł być przypadek. Dwie osoby w tym samym nijakim miejscu. Bez celu.

Nie.

Postacie pozostawały w zмовie i czegoś chciały. Nie wymieniły porozumiewawczych słów ani gestów. Nie musiały, bo ich spotkanie było zaplanowane.

Coraz więcej par oczu przez firanki obserwowało przebieg sytuacji.

Pod budynek stopniowo docierały kolejne postaci. Trwały – stojąc, siedząc, kuczając. Kilka z nich klęknęło. O co się modliły? A przede wszystkim – dlaczego? Wszystkiego było pod dostatkiem, można było żyć długo i szczęśliwie. Modlitwy dawno odeszły do lamusa, bo już nie było o co prosić, a bóg to przecież przestarzały concept.

Przybysze wydawali się wyglądać zwyczajnie, tak jak ci, którzy spoglądali zza firanek, jednak ich zachowanie diametralnie się różniło. Po co się zbierali, a raczej gromadzili? Tak jakby stali za CZYMŚ albo nawet przeciwko CZEMUŚ. Jakby COŚ chcieli pokazać. Tylko co? W jakim celu? Dlaczego akurat mieszkańcom tego budynku?

Dlaczego postacie się nie komunikowały?

A może robiły to w INNY sposób, tylko przez nie rozumiały?

Firanki drżały. Głos grzęzł w gardle. Oczy – napelniały łzami.

Czy to obce istoty, które bezprawnie się upodobniły?

Nie! Nie ważyłyby się! Zęby się szczyrzyły. Pięści się zaciskały.

Było ich już kilkunastu. W równych odstępach. W różnych pozycjach. Porozkładane na ziemi pod blokiem bezwładne sylwetki. Jakby czekały aż COŚ się wydarzy. Jakby wiedziały, że TO musi się stać. Albo nawet – chciały sprowokować dalsze wydarzenia.

To ich milczenie. To ich trwanie. To ich wystawanie. Wystawianie się na widok publiczny.

Jakby chcieli obwieścić całemu światu:

– ISTNIEJEMY.

– Jesteśmy.

– Jesteśmy z Wami.

– Jesteśmy Wami.

Jakby upartym staniem chcieli wymusić swoje prawo do bezwarunkowego istnienia. Jakby mało było im praw, które im przyznano, choć wcale nie musiano! Jakby myśleli, że wolno im upodabniać się do ludzi, udawać że są kimś, kim nie są. To było to, czego teraz najbardziej obawiali się obywatele: że spotkają obcego, który udaje człowieka, że okaże się, że ich

sąsiad, partner czy dziecko nie są ludźmi. Takie lęki nie było racjonalne, ponieważ bardzo pilnowano, by ludzie nie mieszcili się z obcymi, a przydzielane rodziny spełniały testy kompatybilności.

Ale teraz obca tkanka atakowała zdrowe społeczne ciało, tworząc rakotwórczą narośl.

Teraz ta obca grupa przeprowadzała cichą inwazję.

Żaden normalny człowiek by tego nie wytrzymał! Nie zniósłby tej niechcianej upartej obecności, tolerowanej w imię człowieczeństwa, miłosierdzia czy „wyższej idei”. Gromadzący się wydzielali coś takiego, co nie dawało patrzącym na nich spokoju. Tak psychicznie, tak niezauważalnie. Nie udowodniono tego? I co z tego! Musieli wydzielać, skoro tak na nich reagowano! Po prostu jeszcze nie odkryto, co to takiego. Ich technologia była znacznie bardziej zaawansowana i mogli siebie jako gatunek znacznie bardziej modyfikować.

I po co to robili? Że to niby ich czyniło lepszymi?!

No niech się tak nie wywyższają! Niech się tak nie wypiętrzają swoimi długimi szyjami. Już przestali wyglądać jak ludzie. Już pokazali swoje prawdziwe oblicze! Po co się tak afiszowali ze swoją Innością? Przecież to nie służyło w ich akceptacji, a wprost przeciwnie. Nie byli Stąd. Nie należeli do tego miejsca, a mimo to dostali prawo pobytu. To prawda, nie mogli pracować, nie mieli praw. Ale po co by im one były? Przecież te istoty nie musiały jeść, pić, nie marzły. Nie rozumiały Ziemi.

Niewdzięczne!

Miały się tylko trzymać na uboczu. Nie rzucać się w oczy. Upodobnić do ludzi, ale oczywiście nie podszywać się pod nich – takie egzemplarze były natychmiast utylizowane przez policję techniczną. Czy to było aż takie trudne?



Czy mimo że po Katastrofie dostały schronienie na Ziemi, musiały się narzucać swoją innością?

Szyje stojących wyglądały tak typowo, jak i szyje mieszkańców. Sięgały pierwszego piętra. Niby oczy z tyłu głowy pozostawały przykładowo zamknięte, ale kto ich tam wie, czy nie podglądały, co jest za firanką! Nie one jednak były najgorsze, tylko te glutowate szyje ciągnące się po ziemi – żaden człowiek nie pokazałby się w takim stanie.

Czy naprawdę tak słabo znali ludzką kulturę, by nie wiedzieć, że prezentowanie szyi w stanie swobodnej glutowatości jest uznawane za obrzydliwe i narażając innych na taki widok, aż się proszą o nauczkę?

A przecież „przybysze” (jak ich nazywano) mogli żyć w dedykowanej im dzielnicy. Nikt ich nie nękał. O prześladowaniu nie mogło być mowy! I tak okazano im tyle dobroci. Eksperymenty prowadzono tylko na niewielkiej liczbie egzemplarzy i przez krótki czas. Po zakończeniu eksperymentów egzemplarze ucierpiały, by mogły zachować godność i nie musiały pokazywać się w uszkodzonym stanie. Podjęto nawet kontrowersyjną decyzję i pozwolono przybyszom się rozmnażać, oczywiście pod nadzorem.

Nie wiadomo, skąd się wzięli i w jakim celu dotarli na Ziemię. Nic nie pamiętali, po prostu nic, a przynajmniej tak utrzymywali, że uciekali przed Katastrofą, ale nie wiedzieli dokąd. Rozbili się na polu, powodując trzęsienie ziemi. Na szczęście nikt nie zginął, a ta historia już się nie powtórzyła. Choć niektórzy twierdzą, że jest to dopiero początek inwazji i kolonizacji naszej planety przez obce istoty.

Członkowie załogi odbudowali się ze zmarłych ciał. Na szczęście ich kod genetyczny zmodyfikowano tak, by już tego nie mogli zrobić. Niestety – pozostawiali po sobie ślad. Taki widoczny. Zaznaczający swoją obecność i niepozwalający się usunąć. Dlatego nie zalecano zabijania ich w „Zwykłych Dzielnicach”. Do tego służyły „Strefy Specjalne”. A i tam nie zalecano chodzić,

jak zresztą nigdzie indziej. Najlepiej, żeby „te istoty” żyły oddzielnie, żeby nie wchodziły w interakcje z człowiekiem. Czemu ich nie wybito, jak wielu by sobie życzyło? Bo niewątpliwie, technologicznie, mogły służyć za dobre źródło wiedzy, jak rozbudować człowieka.

To była dobra rozrywka. Uczciwa. Całkiem popularna, choć niepochwalamana przez władze ze względu na pozostawiane ślady. Nikomu nie działa się krzywda, a dzięki takiemu skierowaniu uwagi na Istoty, można było znacznie ograniczyć przestępczość, choćby kradzieże tożsamości, o które było łatwo w tak jednolitym i zgodnym społeczeństwie.

Niestety „pamiątki po obcych” nie można było usunąć. I do tej pory nie odkryto, co to za niezniszczalna technologia. Pewnie dlatego ją wytworzyli, by mogli przetrwać i zaznaczyć po sobie miejsca, w których zginęli. Kto wie, do czego posłużą te ślady? Może pokrewne ich istoty potem przybędą po śladach pomścić swoich?

Postacie trwały nieruchomo. Wpatrzony w nieistniejące treści na telefonach. W coś gdzieś w odległej przestrzeni, co nawet nie istniało. Były gotowe na to, co zaraz miało nastąpić.

Poleciał pierwszy kamień.

Musiały się tego spodziewać! Aż tak głupie to chyba nie były?

Ktoś spudłował – prawdopodobnie zamierzenie. Żadna z postaci nawet się nie poruszyła. Nie, tak by się nie zachował żaden człowiek. Nikogo już nie zmyli doskonale imitowana fizyczna powłoka.

Poleciał kolejny kamień – tym razem drasnął jedną z glutowatych szyj, pozostawiając w niej nieestetyczne wgłębienie. Był to nieprzyjemny widok dla ludzi, którzy tak przecież dbali o wygląd swoich szyj.

Patrzyli jednak dalej, choćby przez zasłonięte niedokładnie pary oczy. Przez firanki lub kamery. Widok był przykry, ale TRZEBA było patrzeć. Niewątpliwie byli świadkami czegoś ważnego.

Dorośli zawołali dzieci. To mogła być ważna lekcja historii. Takie rzeczy nie działy się przecież codziennie i nie każdy miał zaszczyt być ich świadkiem.

Kamienie leciały jeden za drugim, a oczy pomału się przyzwyczajały. Draśnięcia. Rany. Wybicia.

Nikt nie uciekał.

Okazjonalnie ktoś padał, a potem się podnosił.

Postacie trwały uparcie na miejscach. A przecież miały tyle szans, by uciec, by usunąć z przestrzeni publicznej swoje istnienie.

Dorośli uspokajali dzieci, uspokajając przy okazji samych siebie. Przypominali sobie, co było im mówione. Czekaający mieli nie czuć bólu. Mieli wykształcić mechanizm, by go nie czuć.

Ale ludziom go nie zdradzili!

To było za mało widowiskowe. Mieszkańcy otwierali okna. Rzadko to robili, bo powietrze nie służyło zdrowiu.

A więc po to nakazywano przechowywać zapas kamieni. Tak, to było naprawdę dobrze zorganizowane społeczeństwo. Pewnie można zużyć wszystkie. Pewnie nazajutrz dostaną nowy pakiet, żeby pozostali zabezpieczeni „na przyszłość”.

Każdy wziął po kamieniu i wymierzył najlepiej jak umiał.

Rodziny przybijały sobie piątki i gratulowały celnych trafień. Rodzice byli tacy dumni ze sprawności swoich pociech! A więc szkoła naprawdę uczyła ŻYCIOWYCH umiejętności i przyczyniała się do zwiększenia szans na gatunkowe przetrwanie.

Scena była jednak za mało efektywna jak na tak doniosłą, historyczną chwilę. W ruch poszły (przeznaczone widać na takie okazje) sierpy i dyski.

*Tnie obcego aż miło patrzeć!*– zapewniał uśmiechnięty pan z reklamy często wyświetlającej się podczas przyswajania optymalnie spersonalizowanego *contentu* prezentującego najlepsze produkty typu *must have*.

I rzeczywiście. Szyje były w równych plasterkach. Oczy zza firanek uważnie rejestrowały każdy szczegół. Wszak nie zdarzało się to na co dzień i stanowiło wyjątkowe przeżycie!

Ciała szybko uprzątnięto. Przybyły dyskretne służby, które zawsze pojawiały się tam, gdzie było trzeba i robiły to, co należy. Przykładnie. Po cichu. By nikogo nie niepokoić i nie burzyć społecznej harmonii. Pozostawały zawsze gotowe sprzątnąć, kogo należy.

Szkoda tylko było mieszkańcom, że już nie zobaczą czekających. Akcenty kolorystyczne siniaków na ciałach mogłyby być naprawdę ciekawe. Podobnie jak widok nagich ciał udających ludzi obcych. Czy były anatomicznie takie same w najdrobniejszych szczegółach? Obejrzenie takich ciał niewątpliwie miałoby walory poznawcze.

Działania ekipy sprzątającej było jednak w pełni uzasadnione, tak jak i wszystkie inne zachowania służb, które dokładały wszelkich starań, by OCALIĆ idealną, hodowaną wedle najwyższych standardów tkanę społeczną. Kto wie, jakie toksyny mogłyby wydzielać takie „udawane ciała”. I co jakby się odrodziły? Zbawienie przysługiwało tylko Temu Jedynemu, który jeszcze nie nadszedł i nikt inny nie miał sobie prawa go przypisywać. Wyczekiwali go tak długo, posłusznie, wierząc że zstąpi z kosmosu.

Zamiast tego przybyli oni.

Nie mogli nim być. Jak ktoś mógł się pod niego podszywać?! Jak ktoś mógł nawet PRÓBOWAĆ się odradzać. Kimkolwiek były obce istoty, powinny

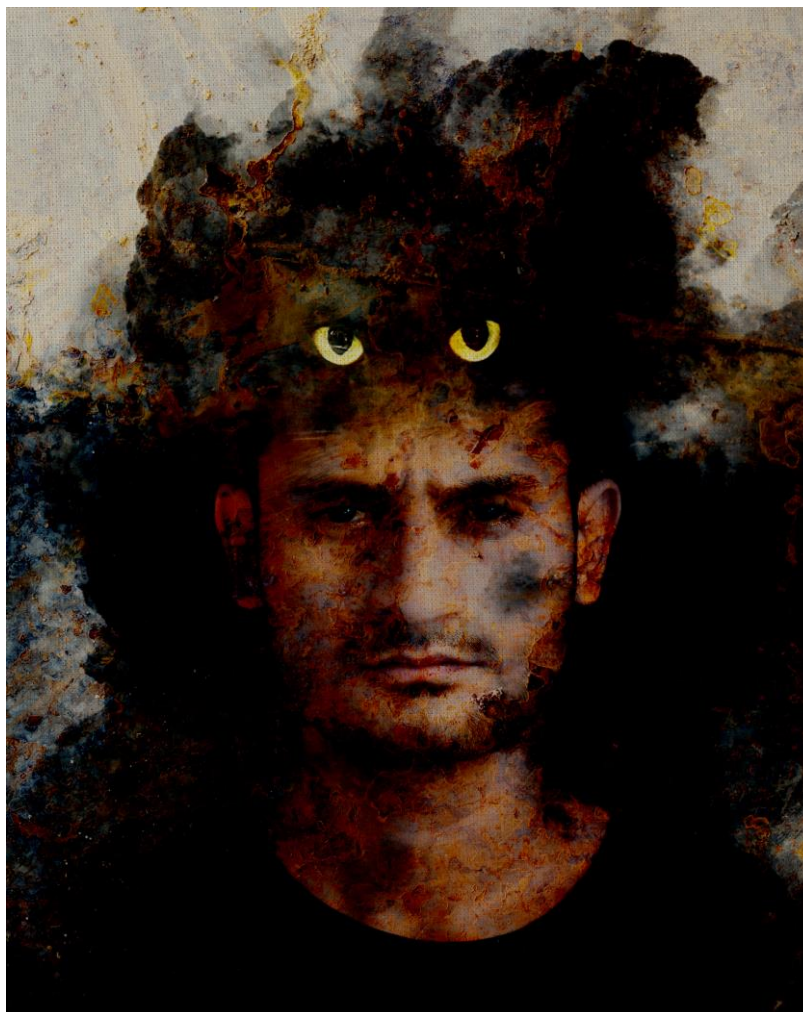
wiedzieć, że praca nad takimi technologiami jest naganna, a zbawienie przystoi tylko wówczas, gdy jest naturalne.

Pozostał jeden problem: „pamiątka”. Niby dobrze wiedzieć, że TO się tam stało, powspominać, ale jakby nie patrzeć – był to akt rebelii i przewagi technologicznej nad człowiekiem. Nie dało się jej usunąć.

Wielki biało-czarny sześcian składający się z niezliczonej liczby biało-czarnych sześciątów już na zawsze pozostanie w tym miejscu. Wiele razy próbowano „coś zrobić” z tymi „dowodami śmierci”, jednak za każdym razem przekonywano się, że jednak się nie da. W przeciwieństwie do „udawanych ciał” sześcian pozostawał nieczuły na uderzenia, czy nawet ostrzeliwania czy wysadzenia.

Wielu sobie tę bezsilność wobec sześciatu przepracuje. Dla wielu będzie symbolem triumfu, wspaniałym wspomnieniem pokonywania obcości i obrony ludzkiej kultury. Dla niektórych, tych którzy będą skrzętnie to ukrywać, pozostanie na zawsze niepokojącym dowodem na naruszanie ich człowieczej przestrzeni. Będą nerwowo zerkać w jego kierunku, prosto zza firanek. Tak jak wtedy, gdy pojawił się pierwszy z czekających. I nigdy, przenigdy się tą swoją słabością z nikim nie podzielią.

Na miano człowieka trzeba było zasłużyć i nikt nie chciał zostać uznany za „udawane ciało”.



# DZIECIŃSTWO OKRĄGŁE JAK CUKIERKI

Nikto0

## **Rozdział 1: Dzieciństwo okrągłe jak cukierki**

Prawda jest najprawdziwszą prawdą, a zło istnieje tylko w nas. Nie poza nami.

Tylko dzieciństwo pozwala na pewną naiwność w myśleniu i działaniu. Ten piekielny urok bycia młodocianym i zauważanym przez wszystkich niestety tak szybko mija. Jednak zostaną zachowane próby odkrywania radości, pozostawione w gumie do żucia, cukierkach słodkich, rozkosznych pochlebstwach, a teraz w dymie papierosowym. Od jakiegoś czasu to mnie nie zadowala, zależy mi na prawdziwym szczęściu, nie takim okrągłym jak cukierki, ani na takim wydłużonym jak fajki. Myślę, że to dojrzewanie, taka zmiana która na początku się chwieje, a dopiero później stabilizuje się i wiem, że we mnie zachodzi nieustannie.

W oddali widziałem zbliżający się i jednocześnie oddalający się punkt. Pulsował: raz był malutki, a raz wielki i czarny, po chwili zamienił się w czarnego łabędzia o skrzydłach do cna ciemnych i nieprzeniknionych.

Zegar tyka, nawet gdy nas nie ma. Czas płynie i się nie zatrzymuje, jest nienamacalny, ale taki rzeczywisty. Patrzyłem na kotłujące się wskazówki, odmierzają równo upływ czasu i dlatego są strasznie przewidywalne. Przyglądałem się ich ruchom. Mama wołała mnie, lecz wołałem nie reagować, udając, że nic nie słyszę, to mi wychodziło najlepiej. Szczególnie wtedy gdy odcinałem się od wszystkiego. Myśli pojawiają się i przenikają w głąb siebie samych. Jestem sam, a jednak pośród ludzi. Nieodgadniony paradoks. Samotność namierzyła mnie na swój cel, lecz coś przenosiło mnie na największe wyżyny. Z zamyślenia widocznego na mojej twarzy wytrąciło mnie coraz głośniejsze: – Kuba! Kuba! Chodź tutaj szybko!

Przyszedłem.

– Musisz mi pomóc oczyścić złote figurki z narastającego ciemnego odcienia złotego, tego, który powoduje, że kupujący stają się pyszni i nienasycenie pragną bogactwa, kiedy im się to w zupełności nie należy.

Zabrałem się za słonia, który na szczęście był umieszczony na najdalszej półce, z dala od zazdroszczących mu przedmiotów, lecz wbrew swojej nazwie, nieoczekiwanie nie dał mi tego, co tak zażarcie obiecywał każdego ranka, gdy go podziwiałem. Po chwili wylałem na niego farbę o kolorze różowym, która natychmiast rozprysnęła się, jak ciemność uwolniona z rozbitej żarówki, brudząc mnie jak i wszystko wokół. Zrzuciłem winę na psa o imieniu Tester. Wtedy jeszcze nie wiedziałem, co zrobiłem. Nappełniłem

swoją wyobraźnię irracjonalnością, czymś, co miałem poznać bliżej dopiero później. Od tej chwili zacząłem obsesyjnie wszystko mierzyć, ale to był dopiero początek. Taki niepełny, pragnący się ujawnić w moim zachowaniu.

\*\*\*

Wizyta cioci przedłużyła się, ku mojemu ogromnemu zadowoleniu. Zawsze lubiłem ciocię Lucynę. Gdy przyszła, pierwsze, co zobaczyłem, to krągłości, było w nich coś innego, niż zazwyczaj, lecz znajomego. To coś cukrowego, co zwykle rozbijało się o zewnątrz, a dzisiaj miało wydobyć się jako nieokiełznana siła. Taka, która chciała zasłodzić nasze małe mieszkanie.

– Chodź, cukiereczku przywitaj się z ciocią – powiedziała mama

\*\*\*

Jedliśmy truskawki w czekoladzie, która roztopiona kleiła się, jakby chcąc rozpuścić cały świat razem z dobrem i złem. Niektóre smakołyki wcale nimi nie były, za to ich cierpkość i kwaśność mogłaby wykrzywić twarz każdemu, za to inne wprowadzały cię na polacie szczęścia. Przed zjedzeniem ich każdy wymiar sprawdzałem z pieczołowitą dokładnością. W ten oto sposób, z niewiadomych mi przyczyn, trafiałem na same słodkie przysmaki. Natomiast ciocia pochłaniała z niemożliwą prędkością kolejne i kolejne, a ich ilość przerastała wszystko, co mógłbym sobie wyobrazić. Po czym zdołała wypowiedzieć:

– Smaczne, co nie, Cukiereczku?

Bardzo lubiła dodawać zdrobniak „Cukiereczku”.

Nie zdążyłem nic odpowiedzieć bo Metr jakby sam wysunął mi się z kieszeni. Koniec zetknął się z początkiem, odkrywając dużą dla mnie liczbę, lecz po chwili zrobiło się luźno i musiałem mierzyć jeszcze jednym, a później kolejnym i kolejnym. Teraz zobaczyłem niewyobrażalną dla mnie liczbę metrów, układającą się gładko pomiędzy lukrową talią cioci Lucyny, która coraz bardziej zaczęła przypominać słodycz, taki duży, pełny krwistego nadzieja truskawkowego.

Nie zdziwiło mnie to. Ciocia Lucyna uwielbiała truskawki.



## **Rozdział 2: Namacalne szaleństwo**

Noc zjawiała się, jak zawsze otulając słońce ciemnym bezkresem. Mroczne, nieokreślone przestrzenie nie dały się już przedstawić za pomocą liczb na podziałkach. Wtedy pojawił się on. Na początku obudził mnie chaos, który przenikał do mojego umysłu. Zobaczyłem Kota, który powtarzał: „metr, metr, metr, daj mi metr”. Choć pierwszy raz wydarzyło się coś takiego, to zignorowałem to, próbując zasnąć. Położyłem się, pozwalając moim myślom wędrować niczym w labiryncie z jedną ścieżką. Zapadłem w sen, lecz gdy usłyszałem straszny, koci krzyk przebudziłem się. Okno było otwarte. Gdy przez nie wyjrzałem, na dole zobaczyłem Kota. Nie wiedziałem, co zrobić, więc czekałem na to, aż zniknie. Nie stało się tak, mimo upływu czasu. Postanowiłem skonfrontować się z nim. Nagłe pragnienie śmierci odbijało, rezonując nicością pomiędzy ścianami. Wydawało mi się, że wszystko krąży wokół jednego punktu, dającego niewidzialną nieprzenikliwość. Skoczyłem, rozbijając okno.

## **Rozdział 3: Miara wszystkiego**

Umysł zagadką dla największych, trwająca niewiadoma prowadzi mnie pośród swoich pomników. Tak, skoczyłem z wysokiego budynku, ale najpierw taki nie był; rozszerzył się on niespodziewanie, wybijając rytm kostuchy. Coś zakłóciło percepcję. Próby samobójcze zwykle nie są związane z kotami, ale we wnętrzu Kota, dostrzegam pustkę, taką, jaką ja noszę w sobie, udając nienagannie szczęśliwego, przed ludźmi z zewnątrz. Widzą uśmiech i zakładają, że się cieszę, podczas gdy w duszy nie mam miejsca bez ciemnych sfer. To przez miarę i Kota nikt nie jest w stanie mi uwierzyć, gdyż mam dziury w duszy. Ona towarzyszyła mi od zawsze i chciałbym, żeby pozostała dzieciinną zabawą. Nie mogę dopuścić do powtórnych niepowodzeń. Przypomniałem sobie, od czego zaczęła się moja obsesja. Zwijając gumę, myślałem o jej długości, o mierze; chociaż nie powinna być tak długa, to zaczynała się nadnaturalnie zachowywać i sięgała dalej i dalej. Aż mój cały pokój został przez nią zapełniony. Dzięki temu uratowałem dom przed gangsterami, nie chcieli, żeby wszystko się do nich kleiło. Nie ma niczego, do czego przywykła moja widzialność. Nienachalna ciekawość nie może być zaspokojona, bo budzę się już na dole, ale nie takim zwykłym, lecz jeszcze dalszym. Innym od tego, do którego jesteśmy przyzwyczajeni. Labirynt niepozamykanych myśli przenika do tego, co nazywa się teraz. Są one niesumiennie poukładane i stają dęba, tworząc wykres zależności między tym, co dzieje się we mnie i poza mną. A wszystko w odgadniętych przeze mnie w długościach i szerokościach. Po czym zmierzona

eliptyczna nieskończoność wyświetla czas, który biegnie w nią wraz z odcinkami, przedstawiając część świata, tą najbliższą mnie. Za tą nieskończonością kryje się kolejna, mówiąca do mnie w języku „miernictwa”. Coś dotyka mnie, zaburzając mi ostrość widzenia, tego co dalekie i bliskie, i pulsuje raz w mierność, a raz w wielkość.

#### **Rozdział 4: Ostateczna ostateczność**

Siedem wielkich kawałków szkła wklejonych w ostateczność. Czternaście poziomów ciszy zatopionych w niewidzialność. Jestem wszystkim, co kryje się w jej wnętrzu. Budzę się w nie jasnych i nie ciemnych kolorach, takich pośrednich, takich, które doświadczają wszyscy „niewidzący” – nie ma dla nich skrajności. Rozpoznaję Kota, który ściąga z siebie raz po raz kolejne warstwy nieprzeniknionej ciemności, aż do samej czeluści; w sobie ma tylko złość i poczucie niewyobrażalnej niesprawiedliwości. W tej chwili zauważam również obecność lekarza, pochylony, przygnieciony doświadczeniem – „niewidzący”. Ma do mnie tysiąc lat świetlnych, więc się nie boję. Myślałem o śmierci i podobno cały czas powtarzałem, że chcę spotkać się z wszechmogącą miarą i umrzeć, lecz ku mojemu zdziwieniu, nie skoczyłem z 10. piętra, lecz z jednego metra. Chcą znowu wyprowadzić mnie z wszelkich skrajności, jakimi także jest samobójstwo. Kot pojawia się i znika, jak w szarościach przełączanego telewizora, nie chce odejść. Mam za sobą niepokojące nadzieje, które ukrywam pod płaszczem przyszłości. Takie, które pozwolą mi trwać. Koniec jest nieodosobnionym pięknem, ale jednak nie chciałem, żeby on nadszedł, wszystko stało się poza mną. Nie wiem, co się tutaj stało. Nic jest ze mną i zamienia się w nicość.

#### **Rozdział 5: Kot w połaciach miary**

Kot pojawił się i był coraz wyraźniejszy pośród wszechogarniającego szumu nie zrównanej nieokreśloności. Pokazał na swoje wnętrze, w którym ukrywało się coś. Okazało się, że było metrem, którym mierzył dokładne porcje kocimiętki. Podał mi go wraz z kocimiętką, która miała mnie chwilowo odurzyć, aby nie potęgować nieuniknionego szoku. Miara zawsze mi towarzyszyła, ale dzisiaj miałem dostać się do najbardziej głębokich, nieodgadnionych połaci jej nienazwanych długości. Zobaczyłem, że Kot staje się nią i rozciągliwość jego wzrasta. Na zmianę z ogromną porcją kocimiętki, raz jest miarą, a raz kocimiętką. Nie wiedziałem, co to dla mnie oznacza, więc wybiegłem. Ciekawość nie była wtedy na tyle silna, żeby mnie zatrzymać.

## **Rozdział 6: Szaleńczy bieg donikąd**

Nawet nicość nie mogła mnie dogonić; rozprzestrzeniająca się i ukrywająca przed wszystkimi, tajemnica tego, co było i będzie. Biegłem, odganiając spragniony lęk. Dotarłem do drzwi, a kiedy je otwierałem, zamiast tego, czego się spodziewałem, zobaczyłem następne drzwi przytwierdzone w tym samym miejscu, co poprzednie. Po czym ściany zaczęły się dziwnie wyginać i spadłem na dół. Zobaczyłem mojego nieodzownego towarzysza późniejszej udręki.

## **Rozdział 7: Własne piękno przewyższa piękno nad pięknem**

Zachwyt nad własnym ciałem był dla niego czymś naturalnym, niby nie odziedziczonym po naszych małpiatych przodkach. Popadał w tak zwane „skrajności”. Nieodpowiednie cienie naszej egzystencji. Muskał ustami swoje białe, jakby pozbawione krwi, ręce. Ujrzałem też Kota, który pojawił się znikąd, zaraz kazał mu pocałować się w tylną część ciała, skoro jest ona tak doskonała, to powinien to zrobić, twierdził. Zmieszane emocje ulatniały się w postaci mglistych działań. Nienazwanych nigdy odczuć. Ten przejmujący się swoimi wdziękami człowiek próbował zrobić to, co podsunął mu Kot, jednak z marnym skutkiem. Męczył się, nieprzerwanie, powtórnie nadstawiał się, aby wykonać zadaną mu czynność. Po tym, gdy wreszcie stwierdził, że to niewykonalne, przedstawił mi się jako Nieznany Nieodgadniony. To dziwne imię i nazwisko podobno zawdzięczał rodzicielce, która chciała, żeby był jak ten wszechświat: niedopowiedziany i nieodgadniony. Spotkamy się z Kotem. Właśnie, spotkajmy się z Kotem.

## **Rozdział 8: „Skrajności” jako nowe niewolnictwo**

Po chwili zauważyłem, że wszyscy wokół zachowywali się jakoś dziwnie, oglądając się za mną, lecz nic nie mówili. Cisza jest zaraźliwa, pulsując w umyśle, ogarnia w najmniej spodziewanych momentach; to kolejna „skrajność”. Przez nie także Indywidualizm jest tępiony jak najstraszniejsza zaraza.

## **Rozdział 9: Czarne nieokreślone przestrzenie**

Teraz widziałem wyraźnie najczarniejszą czerń jaką dotąd mogłem sobie tylko wyobrazić; pozbawiony wszelkich zahamowań kolorystycznych czułem wielką ulgę, lecz ta czerń zaczęła mnie pochłaniać, stawiając wszystko na odwrót. Nie pozwalając na jakąkolwiek reakcję. Pośród niej zobaczyłem Kota i jego wnętrzości, których po prostu

nie było, tylko znowu ta czerń. Później dostrzegłem, jak Sześć Szczęść dogorywa w kotle nazwanym moim imieniem, podpisanym sześć razy. Każde Szczęście ma swoją miarę, która zanika w nieszczęściach. Metr wpadł mi w czeluści, a kiedy chciałem go wyciągnąć, jakieś nieokreślone stwory, osmolone o bogatych kształtach, zaczęły się z niego wydobywać. Każdy z podpisanymi wymiarami; zerwałem im je, uwalniając ich od nazwania tego, co zrobili. Pośród nich rozpoznałem, z niemałym zdumieniem, ciocię Lucynę z krwistym nadzieniem, która karmiła sobą onieśmiałe moją wizytą Szczęścia, teraz już przemienione w prawdziwe nieszczęścia. Smukłe ich ciała jak węże oplatały jej okazałą cukrową, pulchną sylwetkę. Wszystko zaczęło stawać się niedopowiedziane, rozmyte, pośród niekonwencjonalnych pragnień przywrócenia poprzedniego stanu. Pulsująca nieokreśloność była nieodzowna: raz malutkie, a raz wielkie Szczęścia czy nieszczęścia, sam już nie wiedziałem. Ciocia Lucyna raz objawiała mi się jako malutki punkcik a raz jak lata świetlne naszej galaktyki.

### **Rozdział 10: Przebudzenie pośród nieznanego**

Ocucony z tego piekielnego snu rozpoznałem Nieznanego, który mnie uratował przed tamtym, nienazwanym stanem. „Piękniśiu, co tutaj się dzieje?“, zapytałem. „Zemdlałeś i zamieniłeś się w lustro, w którym moje ciało było jeszcze piękniejsze, ale nie może być dwóch mnie, dlatego je rozbiłem, po czym wszystko wróciło do normy. W nim jednak nie zawsze zachowywałem odpowiednie proporcje: raz byłem malusieńki, a raz jak olbrzym. Ja wszystko wiem i mówię ci, że to było coś nieprawdopodobnego, musimy to zbadać, zanim ucieknie nam czas. Nawiasem mówiąc, przede mną on zawsze ucieka w tył, dając mi wieczną młodość, z zachowaniem oczywistej mądrości. To taki mały paradoksik. Może dla mnie nie istnieje, jestem zawsze wszystkiego pewny, jak tego, że da się to wszystko wytłumaczyć w taki sposób, że ja będę miał rację”.

### **Rozdział 11: Działanie „skrajności”**

Coś niewiadomego pochodzenia to „skrajności”. Ich brak miał uwolnić nas. Są na to różne sposoby, np. oczyszczanie w dzieciństwie figurek z ciemnego odcienia złotego. Pojawiają się myśli bardzo smutne lub wesołe, a mamy być od tego uwolnieni, zobojętniali na życie. Nieokreślone emocje też stają się piętnowane. Nie można przecież być niezdecydowanym pomiędzy czymś. Wszystko to sprawia, że stajemy się idealnym

produktem. Nie czującym nawet odrealnienia. Poza tym powodują, że stajemy się mniej wrażliwi na kolory, nie odczuwamy zmysłami tego, co ważne.

### **Rozdział 12: Nie obmyślane odstawienie**

Koloryt życia do mnie zapukał, nie ma tego, co wcześniej, tego, co odpowiednie. Czujący cierpi, nie byłem na to przygotowany. W umyśle wybija się w rytm słowa „cierpliwości”, powtarzanego przeze mnie. Coś ciemnego, nieoczywistego pod postacią igły cierpienia. Cierpienie i cnota cierpliwości, złożenie prawie że doskonałe. Nie wybujałe, ale takie niesamowite w swojej zwykłości. Zwariowane podszepty pomysłu podpowiadały mi straszne scenariusze, ciemne jak w najgłębszej otchłani. Niezmywalne winy uderzyły we mnie z nadludzką mocą. Poczulem strach i niechęć do siebie.

### **Rozdział 13: Poszukiwania wewnętrzne**

Powinność mnie wzywa, trzeba odkryć, kim jest Kot i co nim kieruje. Poszukiwania zacząłem wewnątrz siebie, w najdalszych zakątkach mojego jestestwa. Czulem, że on się tam ukrywa, dotąd całkowicie nieposzukiwany. Niezbadane ścieżki, nie polegające na naśladowaniu wolności. Ukazał mi się obraz wszechwiedzącej, nienazwanej całości. Miara skrywana za posadą norm. Ujarzmiłem ją, odkrywając odległość doskonałą. Początek złączony z końcem. W miejscu, w którym się znalazłem, nie istniał czas, co potęgowało moje odosobnienie. Uległem mu, bo wszyscy byli inni, tacy szczęśliwi. Jedyną rzeczą zachowaną po wcześniejszej rzeczywistości stała się miara, ale czy ta inna była bardziej prawdziwa od tej na zewnątrz? Zaznaczyłem jej wielkość pomiędzy Piekłem a Niebem. Tam powinien znajdować się Czyściec, ale były tylko chmury, z których objętościami również się zaznajomiłem. Jedna z nich zamieniła się w ciocię Lucynę. Nie rozumiałem, dlaczego ciocia może być w dwóch miejscach naraz. Puchate, rozdęte piersi zaczęły karmić człekokształtne anioły. Zaskoczony wróciłem do czynności tak mi bliskiej, lecz dziewięć metrów zamieniło się w kilometr, żeby potem stać się milimetrem. Bliski rozpaczy nad tą nieprawdopodobną sytuacją zobaczyłem Kota, pewnie wyczuł mleko. Zaczął się łąsić, by po chwili wydobywać z siebie groźne pomruki. Zrobiło się bardzo ciemno i wszystko zniknęło. Czy pustkę da się zmierzyć? Taką, w której wszystko niknie sprowadzane do niczego. Ciekawość mnie pochłaniała tak jak wszystko inne w niej.

## **Rozdział 15: Pustka wtopiona w biel**

Pustka, ta wielka obszerność nieznanego, wypełniała całościowo większą część przestrzeni. Wtedy odezwał się Kot:

– W tej czeluści widzę piękno, nie może ona grzeszyć będąc i nie będąc.

Po czym ja, przepełniony intuicją, zacząłem działać, chciałem pozbawić mocy zło, które tkwiło w Kocie. Natarczywa powinność wgłębiała w serce, zaczęła mną władać. Biel ciągnięta przed czernią wkroczyła w drogę do pustyni. Złapałem Kota i wrzuciłem go w pustkę, pragnąc rozprawienia się ze wszystkim, co mnie dręczyło, odkąd go poznałem.

## **Rozdział 16: Budząca nadzieja przez nieprzerwaną linię życia**

Światło pragnące uwolnić się od mroku, przepełnione budzącą siłą, tak jak zawsze o tej porze pojawiło się zniemacka i nie pozwalało na dalszy sen. Wstając, nagle zobaczyłem to, co łączyło się ze mną i nie zostało przerwane przez odejście z onirycznych obrazów. Tak, to znowu ten sam, zaznajomiony czarny punkt, który powiększał się do niewyobrażalnych rozmiarów, aby potem osiągnąć wielkość mikroskopijną.

*koniec*

## **Nienapisane przesłanie, zakończenie**

### **Kot-zło pochodzi z Piekła (z podświadomości)**

1. Zło będzie złem, nawet kiedy się od Zła odłamie i będzie z niego się składać. Brak elementarnych części Dobra powoduje nieodwołalne straty, Kot chce tego uniknąć, a Kuba zatapia go w pustce, bo ona nie będąc, nie może ani grzeszyć, ani nie grzeszyć.
2. Na końcu Kuba budzi się, pojawia się pulsujący punkt - pozostałość po Kocie, który był i go nie było, był dobry i zły, mały i duży.
3. Mierzenie=próbowanie wydostania się z odpowiedzialności za grzeszenie, bo to metr samowolnie decyduje o tym.
4. Pozostaje Narcyz, który jest ucieleśnieniem naszego samolubstwa, Zło nigdy nie znika, tylko ukrywa się w kolejnych postaciach.

## **Podświadomość i miara**

1. Zło ukrywa się w najodleglejszej podświadomości, Kot to obraz podświadomości;  
przepracowanie traumy=zatopienie Kota w pustce.
2. Pozwala uporządkować wnętrze, wybrać Zło lub Dobro, którego zawsze musimy dokonywać, dopóki żyjemy. Mierzenie bierze się z nieprzepracowanej traumy (gangsterzy).  
Punkt malejący i rosnący to symbol Dobra i Zła.
3. „Niewidzący” nie widzą skrajności, bo urodzili się wolni od nich i od wszelkich popędów, chcą narzucić tę postawę Kubie; najdoskonalsi „Niewidzący” nie posiadają zmysłu wzroku, który by ich mamił. Są ucieleśnieniem nauki przyswojonej przez Kubę, czyli o stoicyzmie, którego on nie hołduje.
4. Na końcu Kuba budzi się pośród ciemności, z której wyłania się jego ego, przedstawione jako wielki czarny, pulsujący punkt, bo zawiera się tam Dobro i Zło. Teraz uświadamia sobie, że odbył podróż do swojego wnętrza.
5. Nieodgadniony Nienazwany to oblicze namiętności targanych Kubą.

## **Nienapisana zakończenie 2**

Kot=zło

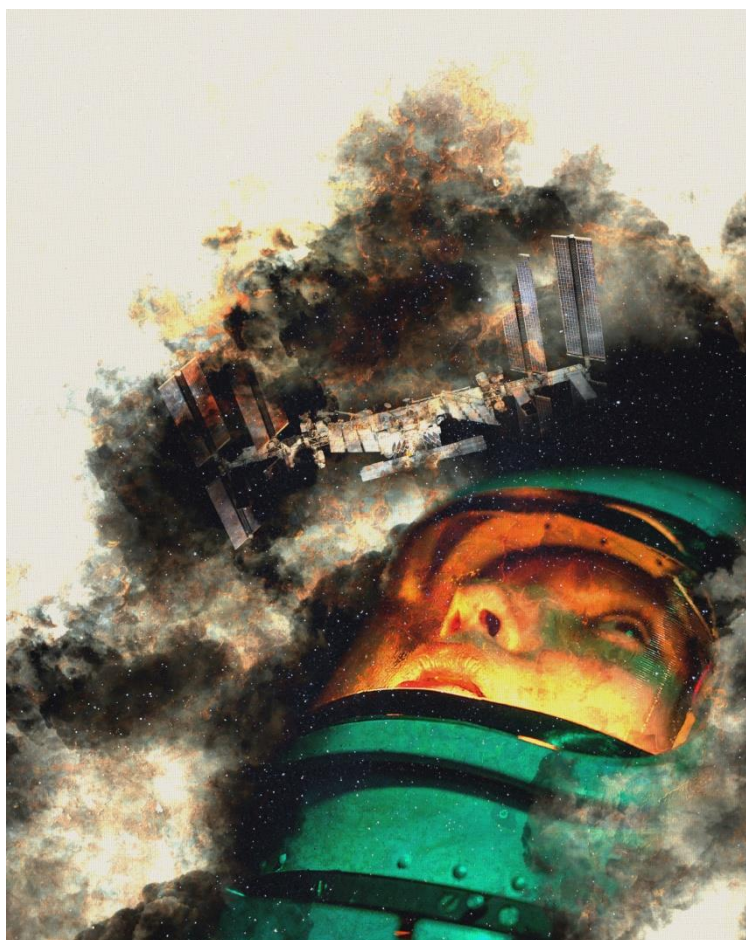
Kot zatopiony w pustkę przez Kubę. Mierzalne, uwalnia Dobro lub Zło, zależnie od nieznanych czynników. Kubie nigdy tego nie udaje się odkryć. Kuba mierzy, wierzy w to, że mierzenie pozwoli mu wybrać pomiędzy Dobrem i Złem.

Przeciwdziała jednej stronie pulsującego punktu, który jest symbolem Dobra i Zła. Z niego pochodzi Nieodgadniony Nieznany = narcyz. Skrajności są złe, względnie w świecie przedstawionym w opowiadaniu tak naprawdę ich potrzebujemy, dlatego Kuba nie jest „Niewidzącym”.

Odnośnik: mierzalne jest bardziej realne, jak Dobro i Zło

Zło = ciotka Lucyna, obżarstwo.

Dobro = jedzenie truskawek w czekoladzie.



# MASZYNY VON NEUMANNA

Mariusz Kaszyński

Pozostałam tu sama, pozbawiona zarówno złudzeń, jak i marzeń. Bo czyż można marzyć, wiedząc to, co ja wiem? Zdając sobie sprawę, jakie są ostateczne odpowiedzi? Ileż razy zadawaliśmy sobie pytania: po co istniejemy, kto stworzył nas i świat, co nas czeka? Ja to wszystko wiem, może nie tak absolutnie do końca, ale nawet zarysy tej prawdy nie wyglądają zachęcająco; wśród miliona hipotez stawianych przez szarlatanów, uzurpujących dla siebie prawo do nieomyślności, żadna nie otarła się o prawdę. W najmniejszym stopniu!



Ciekawa jestem, jak zareaguje świat, gdy się dowie, o ile w ogóle zdąży się dowiedzieć – nie jestem tego wcale taka pewna. Ale może to i lepiej? Umrzeć, zanim pozna się odpowiedź... Zanim trzeba będzie naprawdę w nią uwierzyć.

Nie wiem, czemu dano mi czas, ale wykorzystuję go, pisząc. Ogarnia mnie pusty śmiech, wręcz fizycznie czuję, jak odchodzę od zmysłów, lecz klepanie w klawiaturę pozwala mi trzymać się kurczowo resztek siebie. Nie piszę dla was, oddalonych o dziesiątki czy setki tysięcy kilometrów, wy i tak już tego nie przeczytacie, ale i nie dla siebie, bo już nie widzę nadziei, a robienie czegokolwiek bez bladego promyka nadziei nie ma sensu.

Na zawieszonym nad moją głową ekranie widzę Ziemię. Małą, błękitno-białą kulkę wielkości talerza, mój dom. Do tej pory była dla mnie najwspanialszym cudem, czymś tak niewyobrażalnie pięknym, że znalezienie odpowiednich słów, aby ją opisać, nie wydawało się możliwe. To dla niej, dla cudownej chwili zobaczenia jej z góry, objęcia wzrokiem w całości, już od dziecka pragnęłam polecieć w kosmos, zostać astronautką. Ten mały glob, jedyny w naszym układzie słonecznym tętniący życiem, wręcz ociekający nim, wydawał mi się taki cudowny, szczególnie w porównaniu z innymi planetami – niegościnnymi, na których czeka albo niewyobrażalne zimno, albo dosłownie piekielne temperatury. Tylko na nim, w powietrzu, pod wodą, pod ziemią – dosłownie wszędzie – mrowią się tysiące, miliony stworzeń, dużych i małych, ale zawsze wspaniałych.

To, czego się dowiedziałam, zmusza mnie jednak do spojrzenia na całą sprawę inaczej. To, co do tej pory wydawało się piękne, stało się szpetne, to czym się tak zachwyciałam, wywołuje przerażenie. Niezależnie jednak, czy wzbudza podziw, czy odrazę, nasz dom musi zginąć, takie jest jego przeznaczenie. A gdy on umrze, ja umrę wraz z nim, nie chcę żyć ani minuty dłużej. Jeśli ONI mnie wcześniej nie zabiją, pęknie mi serce.

I wtedy wszystko powróci do normy.

*Trzy dni wcześniej, 57 dzień pobytu na ISS*

*godz. 17<sup>43</sup> czasu Greenwich*

Juliet zgrabnie płynęła przez ciasne pomieszczenia stacji. Wokół panowała cisza, lecz w głowie kobiety rozbrzmiewał walc. Poruszanie się w stanie nieważkości kojarzyło jej się z tańcem, choć ruchy wcale nie były podobne. Słyszała takty muzyki, działała w jej rytmie.

Zaczynała dziewiąty tydzień kosmicznej przygody i w pełni zaaklimatyzowała się już do warunków. Początkowo największy problem – ale też jednocześnie największą frajdę – stanowił brak grawitacji. Sprawiał kłopoty przy wszystkim, co na Ziemi jest oczywiste,

myciu, strzyżeniu, jedzeniu, spaniu, a zwłaszcza przemieszczaniu się. W warunkach stacji orbitalnej niemożliwy stawał się wszelki sposób poruszania, do którego przyzwyczajony jest człowiek. Wypracowane w ciągu milionów lat zdobycze ewolucji, jak wyprostowana postawa i chodzenie na dwóch kończynach, tu okazywały się zbędne. Skoki również nie były dobrym pomysłem. Aby najsprawniej przedostać się z miejsca na miejsce, należało wykonywać ruchy przypominające pływanie i czepiając się w ciasnych pomieszczeniach, czego tylko się da, brnąć do przodu. Z początku wydawało się interesująco nowe, ale teraz, po dwóch miesiącach, przyzwyczała się i do tego. Także wygłupy z jedzeniem i fikaniem koziołków powoli przestawały ją bawić. Objawił się za to nowy wróg, i to taki, którego się nie spodziewała – obecność innych. Uwięziona w ciasnym labiryncie kolejnych modułów ponad wszystko pragnęła samotności. Słyszała o tym problemie, dotyczącym osoby zmuszone żyć koło siebie na zbyt małej przestrzeni, lecz nie sądziła, że i ona będzie się z nim zmagać.

Utknęli tu we trójkę, choć słysząc słowo *utknęli* jeszcze niedawno by się obraziła. Określenie nie wydawało się nazbyt trafione, przecież spełniała największe marzenie życia – podróż na orbitę, poza Ziemię. Gdy jednak pierwsza euforia minęła, sprawy zaczęły przedstawiać się inaczej. Dysponowali przestrzenią o objętości równej kilku szczepionych ze sobą autobusów, w praktyce nie było się gdzie skryć. Każda ucieczka okazywała się jedynie chwilowym odpoczynkiem, potem i tak wracała do tych samych osób.

Pełnili misję we troje – ona, Malcolm Webber, przystojny, zbliżający się do czterdziestki brunet o może trochę za dużym nosie i czasem śmiejący się na głos z czegoś, co jej wcale nie wydawało się zabawne, a także Jurij Greszczenko, drobny, nie wadzący nikomu trzydziestoczteroletni Rosjanin z brytyjskim paszportem, zawsze uśmiechnięty i pełen pozytywnej energii.

Bardzo lubiła Malcolma, a Jurij był jednym z najweselszych ludzi, jakich poznała, lecz w tej chwili oddałaby wszystko za dzień samotności – najlepiej na soczycie zielonej, kwitnącej łące. Na ratunek przychodziła praca, badania, którym poświęcała każdą możliwą chwilę. Właściwie oprócz jedzenia i snu na przemian przesiadywała w laboratorium lub ćwiczyła na przyrządach gimnastycznych. Inni prawdopodobnie czuli podobną presję izolacji, bo zajęci własnymi sprawami nie narzucali jej swojej obecności.

Teraz także, zajęta porównywaniem uzyskanych charakterystyk widmowych, siedziała samotnie przed komputerem. Dopiero głośny szmer przy wejściu do modułu zmusił ją do oderwania wzroku od monitora.

W otworze ukazał się Jurij.

– Nie przeszkadzam? – Zakłopotany uśmiech na jego twarzy zdradzał, iż wie doskonale, że tak.

Juliet wysłała mu kwaśne spojrzenie.

– Malcolm rozmawiał z Houston – dodał Rosjanin. – Nie wiem, o co chodzi, ale prosi, byś przyszła.

Juliet zmarszczyła brwi zaskoczona nagłym wezwaniem. Poczowała lekki niepokój, ale także zadowolenie, że coś przerwało monotonię dnia.

– Coś się stało? – spytała.

– Nie mam pojęcia, powiedział tylko, żebym cię przyprowadził, podobno ci na Ziemi coś odkryli.

– Odkryli? Co takiego?

– Nie wiem, może eliksir młodości. – Jurij zaśmiał się krótko i znikł. Poruszał się z taką gracją i tak sprawnie, że Juliet ledwie mogła za nim nadążyć.

Zastali Malcolma w module mieszkalnym. Biolog i jednocześnie ich kapitan siedział, a właściwie lewitował, z tajemniczym wyrazem twarzy. Na widok Juliet wargi mężczyzny wykrzywiły się w szerokim uśmiechu.

– Wysłałem Jurija po ciebie, bo sądzę, że to cię zainteresuje – powiedział. Sprawiał wrażenie, że chce coś powiedzieć i z całych sił się powstrzymuje, by nie wypaplać wszystkiego od razu.

– Co takiego? – Juliet zdążyła poznać ten wyraz jego twarzy, świadczył, że za chwilę padnie prawdziwa bomba.

– W naszym kierunku coś się zbliża.

– Jak to w naszym? Z Ziemi?

– Otóż nie, w tej chwili to coś jest gdzieś koło orbity Marsa, ale podobno leci w naszą stronę, to znaczy prosto w stronę Ziemi.

– Statek kosmiczny? – Jurij pod wpływem gwałtownego niekontrolowanego ruchu wpadł na ścianę.

Juliet spojrzała na niego zdziwiona, ale też rozbawiona. Zawsze po cichu zazdrościła Rosjaninowi jego kocich ruchów i wyczucia równowagi, ale jak widać i jemu zdarzały się wpadki.

– Cóż za brak koordynacji – wetknęła szpileczkę.

Puścił do niej oko.

– Każdemu może przydarzyć się mały wypadek, a już zwłaszcza po usłyszeniu wiadomości, że odwiedzają nas kosmici...

– Muszę was rozczarować, ale to nic podobnego, nie ma mowy o żadnym statku. To jakiś obłok, gaz, pył, ci z Houston sami nie wiedzą, jest strasznie ciemny. NASA by go nawet nie zauważyła, ale coś im tam przysłonił, więc zdołali go zlokalizować. W każdym razie ustalili, że jesteśmy... to znaczy Ziemia jest na jego kursie. Porusza się szybko, nadzwyczaj szybko, i to w nim jest najdziwniejsze.

– O jakiej prędkości mowa? – Juliet coraz bardziej interesował tajemniczy przybysz.

Z ust Malcolma nie schodził uśmiech, najwyraźniej rewelacje jeszcze się nie skończyły.

– Dotrze tu za trzy dni – oświadczył.

– Niemożliwe! – Kobieta nie wierzyła własnym uszom. – Musiałby... Jesteś pewny, że niczego nie pokręciłeś?

Kapitan zaśmiał się i przejechał dłonią po czuprynie.

– Wiedziałem, że to temat dla ciebie. A co do tego potencjalnie obraźliwego pytania, to może nie jestem doktorem nauk fizycznych, jak jaśnie pani, ale kilka prostych zdań i danych jeszcze potrafię zapamiętać.

– No cóż, worp 5 i są w stanie tego dokonać – wtrącił Jurij.

– O czym ty mówisz? – Juliet, pochłonięta rozważaniami nad istotą niespodziewanego gościa, nie rozumiała, o co chodzi Rosjaninowi.

– O *Star Treku*, lubię seriale sciencefiction, zwłaszcza te starsze. Widziałem odcinek, w którym...

Malcolm spojrział na Jurija z rozbawieniem.

– Mówiłem, że to nie kosmici.

– A któż inny mógłby rozwinąć nadświatłą? – Rosjanin popatrzył po ich twarzach.

– To nie porusza się aż tak szybko, do prędkości światła brakuje mu jeszcze wiele – Juliet miała ochotę się zaśmiać, ale z gardła wydobył się jej tylko suchy kaszel. Choć nie przyznałaby się do tego, była zdenerwowana, ale i zachwycona zaistniałą sytuacją. – Zresztą nie ucz się fizyki od hollywoodzkich scenarzystów. Nadświatła, dobre. Nawet byś ich nie zauważył, bo przybyliby przed ich własnym obrazem. To coś, co zbliża się do Ziemi, rozwija tylko skromne kilka milionów kilometrów na godzinę.

– Skromne...? W takim razie, co to może być? – Jurij wysłał jej tajemniczy uśmiech.

– Prawdopodobnie można znaleźć na to pytanie wiele odpowiedzi – zaczęła ostrożnie – wykluczam meteor lub kometę, ten obiekt leci za szybko, ale...

– A ja ci mówię, że to Marsjanie – Jurij przerwał jej bezceremonialnie.

Juliet spojrzała na niego uważnie, ale nie potrafiła stwierdzić, czy Rosjanin żartuje, czy mówi jak najbardziej serio.

– Trudno mi się wypowiadać o naturze obiektu, bo nie mam żadnych danych, nawet nie widziałem jego obrazu, ale z tego, co mówił Malcolm, to jakiś obłok gazu, może pyłu.

– Czy one są w stanie poruszać się tak szybko? – zaciekawiał się Webber.

– Nic nie porusza się samo z siebie, każdy ruch ma przyczynę. Więc jeśli coś dałoby im odpowiedniego kopa, na przykład jakiś bardzo silny podmuch materii...

– To znaczy, co na przykład?

– Typowym zjawiskiem mógłby być wybuch supernowej.

– Czym by to groziło? – Malcolm zmarszczył brwi.

– Sterylizacją wszystkiego, co znalazłoby się dostatecznie blisko.

– Stalibyśmy się bezpłodni. – Jurij jęknął i nakrył rękoma spodnie w kroku. Najwyraźniej dobrze się bawił.

– Nie w tym sensie, znacznie gorzej, żadnej taryfy ulgowej, cała Ziemia stałaby się sterylna niczym sala operacyjna przed zabiegiem, pozbawiona choćby mikrobów i bakterii, a co dopiero wyższego życia. To byłby nasz koniec!

– Jaka jest szansa, że właśnie się to dzieje? – zaniepokoił się Malcolm.

– Na szczęście żadna, gdyby względnie niedaleko eksplodowała gwiazda, na niebie widziałbyś dwa słońca, no i już byś nie żył.

– Jesteś tego pewna? – Kapitan zaśmiał się nerwowo.

– Jak tego, że dwa razy dwa jest cztery.

– To mnie uspokoiłaś. – Webber odetchnął z ulgą.

Tylko Jurij nie okazywał oznak niepokoju czy zdenerwowania.

– Jak będziecie wiedzieć coś więcej, nie omieszkajcie mnie o tym poinformować, o ile oczywiście zdążycie – rzucił, po czym dodał metalicznym, przerywanym głosem: – To na razie, żegnajcie, Ziemianie, wracam na moją planetę.

*59 dzień pobytu na stacji*

*godz. 21<sup>36</sup> czasu Greenwich*

Wraz ze zbliżaniem się tajemniczego obiektu atmosfera na stacji stawała się coraz bardziej nerwowa. Choć naukowcy na Ziemi twierdzili, że prawdopodobnie nie ma powodów do niepokoju, to słowo: *prawdopodobnie* powodowało, że trójce astronautów ciężko było zmrużyć oczy. Aby zmniejszyć ewentualne niebezpieczeństwo, kontrola lotów zdecydowała o maksymalnym obniżeniu pułapu orbity, po którym poruszała się stacja, ale nikogo to nie uspokoiło. Wszyscy wiedzieli, że jeśli czarna chmura, która z każdą chwilą nieuchronnie się

do nich zbliża, zbudowana jest z luźnej zbitki materii, to każda drobina, której średnica przekracza kilka milimetrów, jest niezwykle niebezpieczna. Spotkanie z tej wielkości kosmicznym pociskiem mogłoby być zabójcze nawet przy zwykłej prędkości stacji, wynoszącej około dwudziestu ośmiu tysięcy kilometrów na godzinę, a tymczasem szacowano, że przybysz leci co najmniej stukrotnie szybciej. O ile Ziemię chroniła gruba warstwa atmosfery, to znajdująca się o wiele bliżej kosmicznej pustki stacja praktycznie pozostawała wystawiona na ciosy. Sytuacja wyglądałaby znacznie lepiej, gdyby przybysz okazał się obłokiem gazu, lecz i tu, w zależności od jego składu chemicznego, mogły się zaiść ewentualne niebezpieczeństwa. W obu przypadkach najważniejsze pytanie dotyczyło gęstości niezwykle gościa. To ona decydowała o wszystkim. Być może miało się okazać, że obiekt mimo swych rozmiarów i prędkości jest na tyle rzadki, że nie stanowi realnego zagrożenia.

Podczas gdy grona naukowców dzień i noc prowadziły ze sobą niekończące się dysputy dotyczące natury przybysza, ten szykował kolejną niespodziankę, która wprawiała ich w jeszcze większe osłupienie – zwalniał!

– To niemożliwe! – Juliet miała wrażenie, że się przesłyszała. – Na pewno źle zinterpretowaliście dane, naturalne obiekty nie hamują. Do tego potrzebne są silniki!

– Jednak to fakt, jego prędkość zmieniła się, i to dość wyraźnie, sami nie możemy w to uwierzyć, ale...

– Houston, czy to kosmici? – Jurij zagłuszył resztę wypowiedzi.

– Nic na to nie wskazuje.

– Więc jak wytłumaczycie zachowanie obiektu? – Rosjanin nie ustępował.

– Nie mogę udzielić jednoznacznej odpowiedzi, przyczyn może być wiele, mamy kilka hipotez, ale na razie jest za wcześnie, aby opowiedzieć się za którąś z nich.

– Przyznajcie się, że nic nie wiecie.

– Jurij, przestań! – Malcolm pociągnął Rosjanina za rękaw, po czym dodał cicho: – Co się z tobą dzieje?

Juliet popatrzyła na nich uważnie. Obaj mężczyźni wyglądali na podenerwowanych i przez chwilę sprawiali wrażenie, że zaraz zaczną się bić. Na szczęście nic takiego nie nastąpiło. Jurij uśmiechnął się przepaszająco i gestem dał znak, że już nie będzie wtrącać się do rozmowy.

– Houston, czy wiadomo coś więcej o strukturze obiektu? Ustaliliście chociaż to? – rzuciła, mając nadzieję, że nareszcie dowie się czegoś konkretnego.

– Z każdą chwilą utwierdzamy się w przekonaniu, że to obłok czegoś drobnego, gazu lub pyłu, na pewno nie ma w nim obiektów większych niż kilkadziesiąt metrów. Myślę nawet, że nasze przyrządy wychwyciłyby bryły kilkunastometrowe, choć nie jesteśmy tego pewni na sto procent.

– To nic nowego – Juliet mruknęła na tyle cicho, że nie mogła być słyszana. – A jego gęstość? – dodała głośno.

– Pracujemy nad tym.

– To co wiecie bezsprzecznie? – podniosła głos, ogólne zdenerwowanie udzieliło się także jej. – Przepraszam – dodała po chwili ciszej – ale cała ta sytuacja... źle na nas działa, po prostu chcielibyśmy usłyszeć w końcu coś konkretnego.

– Przykro mi, wszystkie radioteleskopy na Ziemi wycelowane są w jego kierunku, pracujemy nad tym dzień i noc, hipotezy mnożą się lawinowo, ale rzeczywiście, jak na razie rezultaty są mierne. Jeśli dowiemy się czegoś nowego, natychmiast was zawiadomimy, możecie być pewni.

– A póki co możemy się tylko modlić – dodał Malcolm, gdy połączenie dobiegło końca.

– Moja córeczka prosiła mnie, abym nie leciała – Juliet zaśmiała się nerwowo. – Miała złe przeczucia... Tak powiedziała, złe przeczucia, zupełnie jak dorosła... Dlaczego jej nie posłuchałam?

– Aby przeżyć największą przygodę życia. – Jurij poklepał ją przyjacielsko po ramieniu.

– Przygodę? Będę szczęśliwa, gdy moje nogi ponownie znajdą oparcie na twardej ziemi, o ile to w ogóle nastąpi...

*60 dzień pobytu na stacji*

*godz. 8<sup>17</sup> czasu Greenwich*

Juliet wierciła się niecierpliwie, usiłując znaleźć wygodną pozycję, ale żadna nie dawała wytchnienia. Nie miała pojęcia, ile godzin leżała przypięta pasami, na przemian starając się usnąć i wpadając w krótkie drzemki, z których zaraz się wybudzała, lecz zdążyła już zdrętwieć. Po głowie krążyły jej pytania, na które nie potrafiła znaleźć odpowiedzi. Wszystko miało się wkrótce wyjaśnić, lecz oczekiwanie stawało się torturą.

Płytki sen, w jaki od czasu do czasu udawało się jej zapaść, nie przynosił ukojenia. Ledwie sklejały się jej powieki, a natychmiast przed oczami zaczynały krążyć niepokojące obrazy. W niektórych widziała swoją córeczkę, Katy, krzyczącą do niej coś, czego nie potrafiła zrozumieć. W innych kłóciła się z byłym już mężem, Tomem. Wypominał jej, że nie

ma dla nich czasu, dla niego, dla dziecka, dla nikogo i niczego prócz swej pracy. Potem przeniosła się ponownie na orbitę. Widziała Ziemię bombardowaną olbrzymimi kosmicznymi głazami, które siały śmierć i spustoszenie, zamieniając największe miasta w dymiące kratery i pola gruzu. Z każdego snu budziła się coraz bardziej złana potem i coraz bardziej niespokojna.

Po otrząśnięciu się z jednego z koszmarów, Juliet spojrzała przez umieszczone na wysokości jej głowy małe okienko. Widok zmroził ją do szpiku kości. Wśród rozgwieżdżonej czerni kosmosu dostrzegła ciemną smugę, zasłoną skrywającą część gwiazd. Gwałtownie przetarła ręką szybę w nadziei, że plamka zniknie, lecz nic takiego nie nastąpiło – cokolwiek zobaczyła, znajdowało się na zewnątrz.

– O Boże, to się zbliża – szepnęła przerażona.

Nim zdążyła ochłonąć ze zdumienia, ciszę przerwał piskliwy alarm, który spowodował, że natychmiast zapomniała o zbliżającym się zjawisku. Rozpoznała sygnał – gdzieś na stacji wybuchł pożar. W najbardziej jak to tylko możliwe nieprzyjaznym dla człowieka środowisku – w kosmosie – ogień stanowił jedno z największych niebezpieczeństw. Jego natychmiastowe zlokalizowanie i zagaszenie było kwestią życia lub śmierci.

Juliet wyskoczyła z prowizorycznej sypialni, która na Ziemi mogłaby uchodzić za niewielką szafę, dwoma długimi skokami dopadła ściany, na której wisiały maski, i złapawszy jedną z nich, udała się na poszukiwanie źródła zagrożenia. Miała nadzieję, że pożar nie powstał na skutek jakiegś poważniejszej awarii.

Gdy dotarła do modułu laboratoryjnego, wyłoniła się przed nią ciemna chmura. Nie namyślając się wiele, wskoczyła w jej środek, czego natychmiast pożałowała. Zachłusnęła się gryzącym dymem, a jej oczy zaczęły łzawić. Poczuela napływ paniki. Szarpnęła całym ciałem, próbując się cofnąć, lecz gwałtowne ruchy nie przyniosły rezultatów. Tkwiła w miejscu niczym owad zatopiony w żywicy.

Atak kaszlu jeszcze pogorszył sytuację. Poczuela, że robi jej się słabo i ze wszystkich sił broniła się, aby nie zemdleć. Kolejna próba wydostania się spełzła na niczym, mimo że wykonała długi skok, nie udało jej się uciec z rozprzestrzeniających się wciąż kłębow dymu. W klatce piersiowej czuła ból, gdy wszechobecne opary dotarły do płuc, i przez chwilę bała się, że nadszedł koniec.

Z tego stanu wyrwał ją niewyraźny głos:

– Załóż maskę. – Ktoś przy niej stał, ale nie mogła rozpoznać, kim był. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że obok znajduje się Katy.



– Tak, córeczko, masz rację – usiłowała powiedzieć, ale z jej ust wydostała się tylko kolejna seria kaszlnięć.

– Załóż tę cholerną maskę! – To nie był głos Katy, był grubszy, bardziej męski, przypominał raczej... Toma, byłego męża?

Juliet poczuła, że ktoś łapie ją w pól i gdzieś ze sobą porywa. Pragnęła podziękować Tomowi, czy kimkolwiek był ów człowiek, ale przed oczami zrobiło się jej ciemno.

Z odrętwienia wyrwały ją energiczne ruchy – ktoś nią potrząsał.

Otworzyła oczy i dostrzegła wpatrzoną w siebie zatroskaną twarz Malcolma.

– Juliet, Juliet, nic ci nie jest? Czemu nie założyłaś maski?

– Malcolm? – spytała zdziwiona i zdezorientowana, lecz zanim zdążył coś powiedzieć, przypomniała sobie, co się stało.

– Juliet, nic ci nie jest? – powtórzył Webber.

– Ugasiliście pożar? – spytała z nadzieją.

– Nie, jeszcze nie – zaprzeczył i chwycił lewitującą w pobliżu gaśnicę. – Wszystko OK?

Juliet kiwnęła głową, choć nie była o tym do końca przekonana. Bolało ją całe ciało i czuła nudności, jednak nie zamierzała zaprzętać uwagi własną osobą, Malcolm miał ważniejsze zadanie.

– Na pewno? – upewnił się.

– Tak, możesz iść.

– Weź głęboki oddech. I załóż maskę. – I już go nie było.

Juliet spełniła prośbę i rzeczywiście po chwili poczuła się lepiej. Rozejrzała się wokoło, dostrzegając wiszącą na ścianie gaśnicę. Odbiła się w jej kierunku i syknęła z bólu, najwyraźniej w zamieszaniu zbiła sobie łokieć. Ręka rwała ją niemiłosiernie, lecz nie zważając na ból, zdjęła gaśnicę z uchwytów i podążyła w kierunku modułu laboratoryjnego. Nie zamierzała w obliczu zagrożenia siedzieć beczynnym, czekając, aż inni odwalą za nią czarną robotę.

Po dotarciu na miejsce stwierdziła, że dym znacznie się rozprzestrzenił. Jego kłęby przedostawały się do innych modułów stacji. Sytuacja wydawała się groźna – ogień należało szybko opanować, inaczej groziło im zaczadzenie lub powolna śmierć z braku tlenu.

W gęstej, siwej mgłę dostrzegła wycofującą się postać. Po chwili obok niej znalazł się Malcolm. Miał jakieś problemy z gaśnicą, którą nieustannie potrząsał. Nie dostrzegł Juliet, póki o mało na nią nie wpadł.

– Daj gaśnicę! – rzucił w biegu, lecz Juliet zdążyła go już minąć.

– Dam radę! – odkrzyknęła i nie czekając na odpowiedź, zanurzyła się w czarnej chmurze.

Pomimo obfitości dymu, ogień nie był duży, jednak w gęstej atmosferze niemożliwe stawało się określenie, co jest jego źródłem. Juliet odniosła wrażenie, że w miejscu, w którym wybuchł, znajdował się uprzednio komputer. Wycelowała wylot gaśnicy w środek płomieni i nacisnęła spust. Z impetem wpadła na ścianę i wypuściła gaśnicę z rąk. Właściwie powinna się spodziewać odrzutu – tyle godzin szkoleń, a ona i tak zapomniała, że w warunkach zerowej grawitacji użyta gaśnica zadziała niczym silnik odrzutowy. Wszystko przez nerwowy pośpiech.

Zakłęła i ponownie chwyciła gaśnicę. Ogień jakby przygasł, ale jego jasne języki nadal przebijały się przez dym. Juliet wycelowała i ponownie nacisnęła spust. Odleciała do tyłu, ale tym razem przygotowała się na to. Ponownie podpłynęła do przodu i powtórzyła całą operację. Przy trzecim podejściu ktoś znalazł się blisko niej. Obejrzała się i zobaczyła Malcolm. Mimo kiepskiej widoczności jego twarz z daleka świeciła trupią bledością. Zmierzwione włosy i rozbiegane oczy potęgowały wrażenie, że ma do czynienia z szaleńcem, człowiekiem, któremu puściły nerwy. Jednak Webber nie stracił dawnej sprawności. Jednym skokiem znalazł się przed Juliet i korzystając ze swojej gaśnicy, zduł resztki ognia.

Sytuacja została częściowo opanowana. Zagasili pożar, ale jego skutki pozostawały odczuwalne. Do atmosfery stacji dostały się duże ilości zanieczyszczeń. Zdawali sobie sprawę, że dopóki systemy wymiany powietrza nie uporają się z nimi, nie mogą czuć się w pełni bezpieczni.

Malcolm uścisnął rękę Juliet i dał znak, aby wycofała się za nim do sąsiedniego modułu. Musieli znaleźć część stacji, w której powietrze jeszcze jako tako nadawało się do oddychania.

Gdy tylko wydostali się poza duszące kłęby dymu, kobieta nie wytrzymała:

– Gdzie Jurij? O mało nie zginęliśmy, a po nim ani śladu! Przecież nie mógł nie zauważyć alarmu!

– Spokojnie – Malcolm uśmiechnął się blado – nie próżnował. Kazałem mu przygotować kapsułę ratunkową... Na wszelki wypadek.

– Przepraszam – Juliet pożałowała pochopnie rzuconego oskarżenia.

– Nie ma sprawy, wszyscy jesteśmy zdenerwowani.

Kobieta objęła się ramionami i z podkulonymi nogami lewitowała w powietrzu. Dopiero teraz dopadła ją pełna świadomość grozy sytuacji. Do tej pory zdawała sobie sprawę,

że jest źle, lecz w tej chwili zrozumiała, że znajdowała się zaledwie krok od śmierci. Do oczu napłynęły jej łzy. Były to jednak kojące łzy, wraz z nimi z ciała powoli odpływało napięcie.

Nawet nie zauważyła, kiedy znalazł się przy niej Jurij. Dopiero dźwięk jego głosu wyrwał ją z otępienia:

– Pionierzy i odkrywcy zawsze byli na nie narażeni.

Spojrzała na Rosjanina bez zrozumienia.

– Niebezpieczeństwa – wyjaśnił – szczególnie ogień. Był tak samo groźny dla średniowiecznych żeglarzy zbłąkanych gdzieś na oceanie, jak i tu dla nas, rozbitków kosmosu.

– Chyba trochę przesadzasz? – Juliet uśmiechnęła się z wysiłkiem.

– Z rozbitkami czy z ogniem?

– Z jednym i drugim – rozmowa z Rosjaninem pozwoliła jej wyrzucić z siebie resztki niepokoju. Jego przyjazny ton i nieschodzący z ust uśmiech kołował wszelkie rany.

– Nie, moja droga, nic tak nie przerażało marynarzy na pełnym morzu jak pożar na pokładzie, w tym nie ma cienia przesady. Nie byli bardziej bezpieczni od nas.

– Mogli liczyć na inny statek – Malcolm znalazł lukę w rozumowaniu Jurija.

– Na przykład Kolumb podczas pierwszej wyprawy do Ameryki? – Rosjanin tryumfalnie wyszczerzył zęby w jego kierunku.

– OK, punkt dla ciebie. Najważniejsze, że niebezpieczeństwo zażegnane. Filtry powinny wkrótce oczyścić powietrze. – Webber poklepał towarzysza po ramieniu.

Jego słowa spowodowały, że zmęczony uśmiech, który zajaśniał na twarzy Juliet, zgasł jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Nagle przypomniała sobie o sinofioletowym obłoku, który zobaczyła zaraz po przebudzeniu.

– Nie jestem pewna... – zaczęła powoli – czy jesteśmy bezpieczni.

– O co chodzi? – Malcolm spojrzał na nią z niepokojem.

– To coś, co się do nas zbliża... – nie wiedziała, jak to nazwać – widziałam to.

– Co? – Twarz kapitana zszarzała.

– Jest już blisko...

Nie dokończyła, gdyż powietrze przeszył ostry dźwięk. Juliet nie rozpoznała tego alarmu, lecz mimo to wywołał ciarki na jej plecach.

– Stacja zmienia orbitę! – Malcolm znajdował się już przy wyjściu z modułu.

– Dlaczego Houston robi to bez powiadomienia? – Juliet próbowała za nim nadążyć.

– Wtedy nie rozległby się alarm! – Jurij, mimo że początkowo znajdował się sporo za nią, zdążył ją wyprzedzić.

– Nie rozumiem!

– Orbita zmienia się sama, my ją zmieniamy, nie wiem, może to przez ten pożar! –

Webber znajdował się już przy aparaturze służącej do łączności.

Jurij i Juliet dotarli do niej chwilę później. W tym czasie Malcolm zdążył już uruchomić panel.

– Tu Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, Houston, słyszycie mnie?

W głośnikach rozległ się szum i trzaski.

– Tu kapitan Malcolm Webber, Houston, potwierdźcie odbiór.

Ponownie rozległy się trzaski, po których zapadła długa cisza. Trójka astronautów spojrzała po sobie niepewnie.

– Może poszli do kibla? – mruknął Rosjanin.

– Wszyscy?! Niemożliwe! Ktoś tam musi być! Tu Międzynarodowa Stacja Kosmiczna, mówi kapitan Malcolm Webber, Houston, odezwijcie się! Houston, potwierdźcie odbiór.

– Straciliśmy łączność, prawdopodobnie przez pożar. – Jurij położył dłoń na ramieniu Malcolma. – Zaraz do tego usiądę.

– Nie wierzę. To mało prawdopodobne. – Kapitan spojrzał na niego z powątpiewaniem. Z drugiej strony to Jurij był tu specem od elektroniki i łączności.

– A widzisz inną możliwość?

– Ja widzę – przerwała im Juliet. – Być może znaleźliśmy się już w obrębie tajemniczego przybysza. Może to on zakłóca transmisję. Jeśli jego cząsteczki są naładowane...

– Myślisz, że Oni nas zagłuszają? – przerwał jej Jurij.

– Jacy Oni? Mam dość! Przestań pieprzyć o obcych, chyba nie twierdzisz poważnie...?

Nie dokończyła, gdyż z głośników wydobyła się nowa seria trzasków. Pomiędzy nimi padło kilka urwanych słów:

– Houston... słyszy... zmiana...orbitę...

– Tu Webber, Houston, powtórzcie wiadomość, nie zrozumieliśmy was – Malcolm ponownie spróbował nawiązać łączność. – Chyba masz rację – zwrócił się do Juliet – coś zakłóca transmisję.

Cała trójka w napięciu oczekiwała na jakiś przekaz, ale z głośników płynęły tylko głośnie trzaski.

– Jeśli się nie mylę i odpowiedzialny jest obłok – powiedziała cicho Juliet – to mamy przesrane. Nie połączymy się, z każdą chwilą, wraz z zagłębianiem się w to coś, będzie tylko gorzej.

– Ciiii – przerwał jej kapitan.  
– ISS... słyszycie nas? – Zgłośnika dał się słyszeć niewyraźny, przerywany głos.  
– Tu Webber, wreszcie słyszemy, odbiór!  
– Czemu zmieniliście orbitę?  
– Mieliśmy małą awarię, pożar, na szczęście sytuacja jest już opanowana, ale nie zmienialiśmy orbity, nie potrafimy wytłumaczyć ruchu stacji. Może to przez ten zbliżający się obłok?

Przerwała mu seria trzasków. Po niej z głośnika dobiegły niewyraźne słowa:

– ... to coś, czymkolwiek by nie było, zatrzymało się w odległości około czterystu tysięcy kilometrów... Ziemi... lecicie w jego kierunku... wysunięto hipotezę, że to... – dalszy przekaz zginął w głośnym szumie.

– Houston, słyszycie nas? Tu ISS, Houston! – Malcolm prawie wrzeszczał, nachylając się nad mikrofonem, jednak z głośników nie dobiegało nic poza głośnym szumem.

– Padło ostatecznie – Juliet powiedziała to zwyczajnym tonem, choć jej stan ducha był daleki od spokoju. Powoli ogarniało ją przerażenie.

– Oni nas przyciągają – oznajmił grobowym głosem Jurij.

– Nie ma żadnych Ich! – Juliet wybuchła niespodziewanie nawet dla siebie. – To coś jest nieznanie nauce, ale nie widzę najmniejszych przesłanek, że mamy do czynienia z małymi zielonymi ludzikami albo kapitanem Pikardem w swym zdezelowany gwiazdolocie. To gaz, pył, czy licho wie co jeszcze, ale nie zwarty kształt.

– Naukowcy, myślicie, że pozjadaliście wszystkie rozумы. W dzieciństwie słyzałem opowieść o traperze, który polował w środku nieprzebytej syberyjskiej tajgi. Jego pierwszym krokiem była wspinaczka na najwyższe drzewo. Siedząc na czubku, rozejrzał się i stwierdził, że może rozpocząć łowy, bo poznał całą okolicę i wie o niej wszystko. Zachowujecie się dokładnie jak on, ale poczekajcie, jeszcze wiele rzeczy was zaskoczy. A pierwsza z nich jest tuż za drzwiami. – Jurij wydał pogardliwie wargi.

– Jeśli to rzeczywiście nas przyciąga, czym to może grozić? – Webber próbował zmienić temat.

Kobieta nie odpowiedziała. Wiedziała, że oddalając się od Ziemi, tracą wszelką szansę wyjścia z tej opresji cało.

– Juliet, czym to może nam grozić?!

– Nie wiem, jeśli nie zabije nas promieniowanie lub jeszcze coś innego, to... o ile wszystko będzie funkcjonować jak należy... powinniśmy przeżyć nawet dłuższy czas. Może wtedy na Ziemi coś wymyślą i przyślą po nas jakiś statek czy ja wiem co. Tylko że do tego

potrzebujemy łączności, muszą wiedzieć, że żyjemy, inaczej nie będą tracić funduszy na zabawę w ratowanie trzech potencjalnych nieboszczyków.

– Więc mamy szansę?

– Bez jakichkolwiek danych na temat obiektu trudno mi cokolwiek powiedzieć. To już nie nauka, to zgadywanka. Może za chwilę rozbijemy się o jądro tego czegoś... Nie wiem, po prostu nie wiem! – Juliet poczuła, jak do oczu cisną się jej gorące łzy.

Malcolm objął ją delikatnie.

– Nie martw się – powiedział, przełamując własny strach – przeżyjemy to, zobaczysz, wrócimy cali i zdrowi do domu.

– Wspominałam wam... moja córeczka... – Juliet łkała – prosiła mnie, abym nie leciała... miała złe przeczucia... Ale ja nie posłuchałam jej, postawiłam siebie przed nią... i teraz Bóg mnie za to karze.

– Nikt cię nie wini i nikt cię za nic nie karze. – Malcolm przytulił ją mocno.

– Zwłaszcza, że *Boga niet* – dorzucił filozoficznie Jurij.

Juliet popatrzyła zimno na Rosjanina.

– To przez twoją niewiarę, komunistyczny poganinie!

– Komunizm skończył się w mym rodzinnym kraju już dawno! – odwarknął Jurij. – Jeszcze przed moimi urodzinami. Poza tym wyjechałem do Anglii z rodzicami, gdy jeszcze byłem małym szcylem!

– Ale mentalność pozostała!

– Wszystkim nam puszczają nerwy. Musimy się uspokoić. – Malcolm próbował stłumić klótnię w zarodku. – Zaczniemy się ponownie zachowywać jak ludzie nauki. Mamy dwudziesty pierwszy wiek, średniowiecze to zamierzchłe czasy. To, co nas spotyka, nie jest żadną karą za grzechy, lecz nieznanym zjawiskiem fizycznym. Tak? – Spojrzał na Juliet.

– Tak, przepraszam.

– *ArchiwumX* także odłóżmy na bok, dobra? – Te słowa skierował do Rosjanina.

– Jak chcesz – Jurij nie protestował.

– Skoro już doszliśmy do porozumienia, to zastanówmy się na spokojnie nad tym, jak zwiększyć nasze szanse – ciągnął dalej Webber.

– Aby zapobiec negatywnym skutkom radiacji lub zderzenia z chmurą gęstych drobin meteorytowych, w końcu nie wiemy, gdzie się znajdziemy, powinniśmy przebywać tylko w najlepiej chronionych modułach.

– I to zapewni nam bezpieczeństwo? – Rosjanin nie wydawał się przekonany.

– Nie, ale zmniejszy, na ile to w ogóle możliwe, zagrożenie.

– Chcecie znać moje zdanie?

Malcolm spojrział na niego uważnie.

– No dobra, Jurij, wal.

– Nie dorobiłem się doktoratu jak Juliet, jestem tylko zwykłym programistą, nie wiem, jakie jeszcze cuda kryją się w kosmosie, tego nie wie nikt na Ziemi, ale jeśli coś zbliżającego się do nas, czymkolwiek by to nie było, hamuje, mało tego, zatrzymuje się tuż przed nami, a potem nagle wyciąga po nas swe macki, mówię w przenośni – uprzedził protesty, zerkając na Juliet – to nie trzeba być fanatycznym miłośnikiem UFO, aby dojść do wniosku, że to coś jest sterowane lub posiada jakiś rodzaj świadomości.

– Aby posiadać świadomość, trzeba mieć mózg, a do niego potrzebne jest ciało, a ku nam leci co najwyżej chmura pyłu – Juliet po raz kolejny, już bez wiary w sukces, starała się przekonać Jurija.

– Meduzy nie mają mózgu, a świetnie sobie radzą.

– Meduzy to mięczaki – zauważył Malcolm. – Może nie są tak głupie, jak byśmy sądzili, że powinny być w związku ze swoją budową, ale do inteligencji to im jeszcze daleko.

– Mięczaki czy twardaki, nie znam się na tym, chodzi mi tylko o to, że gdzieś, daleko, może istnieć rozumne życie oparte na całkowicie innych prawach. Prawach dla nas co najmniej dziwnych, może w tej chwili niezrozumiałych lub w ogóle całkowicie niemożliwych do pojęcia.

– A Bóg, gdzie jest w tym wszystkim Bóg?

– W czym leży problem? Jeśli ten twój Bóg, przy którym się tak upierasz, stworzył jeden świat, to mógł ich stworzyć również nieskończenie wiele. I teraz z jednego z nich, z odległego świata zbudowanego krok po kroku od podstaw przez twojego świątobliwego Stwórcę, przylatują do nas na wezwanie SETI jego przedstawiciele.

– SETI nikogo nie wzywa, to program wyłącznie nasłuchowy, zresztą to tylko głupia zabawa kilku zapaleńców, zwykła strata pieniędzy.

– A czemu pani doktor tak sądzi? – spytał cynicznie Jurij.

– Bo to program oparty na wykorzystaniu fal radiowych, równie przydatnych w komunikacji międzygwiazdnej jak tam-tamy w rozmowie przez ocean. W tej chwili nauka nie zna szybszego środka łączności, ba, powszechnie się uważa, że jest on niemożliwy, ale ja wierzę, że za pięćdziesiąt czy sto lat znajdziemy, być może dzięki mechanice kwantowej, jakiś lepszy sposób, by pogadać sobie z twoimi kosmitami... jeśli w ogóle gdzieś tam są. Prawdopodobnie będzie to sposób równie tajemniczy dla nas w tej chwili, jak radio dla naszych przodków sprzed dwóch wieków. Jednak wystarczy się tylko dobrze

zastanowić...musi istnieć lepsza forma łączności albo rozmowy z chociażby najbliższą gwiazdą staną się w praktyce niemożliwe. Nikt nie będzie czekał ośmiu lat, aby usłyszeć odpowiedź na pytanie: *co słyhać?*. Myślę, że jeszcze zanim skolonizujemy Marsa, coś wymyślimy, po prostu zmusi nas do tego sytuacja.

– I myślisz, że to okaże się takie proste?

– Jeśli to w ogóle możliwe i jeśli znajdą się na ten cel odpowiednie nakłady – a sądzę, że tak będzie – to owszem. Informacje o nowych złożach surowców są na wagę złota. Im dalej uda nam zapuścić się w kosmos, tym szybciej badania się zwrócą.

– Teraz to ty mówisz jak Jurij – wymuszenie uśmiechnął się do niej Malcolm.

– Wierzę w naukę.

– A dlaczego nie chcesz uwierzyć w to? – Rosjanin kiwnął głową w bliżej nieokreślonym kierunku.

– Bo to coś *ap e w n* nie posiada duszy.

– Jesteś o tym absolutnie przekonana?

– Tak i powiem więcej, mimo tego że Wszechświat jest ogromny, sądzę, że życie na Ziemi jest niepowtarzalne, po prostu jest ono zbyt piękne i złożone, by móc zaistnieć jeszcze gdzieś indziej. A ci twoi kosmici to tylko pył. Idź i przyjrzyj się im!

– Właśnie się tam wybieram.

– Śmiało, pójdę z tobą.

– Czy to nie jest niebezpieczne? – spytał Malcolm. – Chodzi mi o promieniowanie i tym podobne sprawy, ten moduł jest lepiej osłonięty.

– Jeśli to silnie promieniuje, nic nas nie ochroni. – Juliet wzruszyła ramionami. – Ja w każdym razie chcę to zobaczyć raz jeszcze.

*godz. 8<sup>56</sup> czasu Greenwich*

Obłok znajdował się już znacznie bliżej. Widoczne stały się szczegóły jego budowy. Przypominał nieregularną, trójwymiarową, sinofioletową pajęczynę. Nie pulsował, jednak światło załamywało się na nim, tworząc takie złudzenie. Był ogromny i zupełnie nieznanym – i to przerażało w nim najbardziej.

– Widzisz to z bliska. Masz jakieś hipotezy? – Webber spojrzał pytająco na Juliet.

Kobieta zdawała sobie sprawę, że ktoś do niej mówi, ale sens słów pozostał dla niej niezrozumiały. W tej chwili interesował ją tylko On – czymkolwiek był.

– Boże, jaki piękny – szepnęła.

– Piękno bywa zabójcze – skwitował Rosjanin.



– Nadal uważasz, że to statek kosmiczny? – zapytał Malcolm.

– Nigdy tego nie twierdziłem, uważam po prostu, że to coś posiada świadomość. Świadomość lub przynajmniej jakiś pierwotny instynkt sterujący jego poczynaniami.

– I myślisz, że to może być złe?

– Czemu?

– Sam mówiłeś, że piękno bywa zabójcze.

– Żle mnie zrozumiałeś. To może okazać się wszystkim, aniołem lub diabłem, pięknym i bestią, a właściwie jednym i drugim jednocześnie. Może nawet nas zniszczy, ale czy to oznacza, że jest złe? Czy głodna lwica polująca, aby wyżywić młode, jest zła? Czy krowa jedząca trawę jest zła? Jeśli już to tylko dla rośliny.

– Ale ja nie jestem rośliną.

– Dla tego czegoś możesz mieć nawet mniejsze znaczenie.

– Nie słucham cię, zwariowałeś. Juliet, co o tym sądzisz?

Kobieta wzruszyła ramionami. Co sądziła? Miała przed sobą coś boskiego. Coś pięknego. Pięknego, ale jednocześnie zakazanego. Poczuli się kuszona. Przed nią znajdowało się Drzewo Wiadomości Dobrego i Złego, a ona mogła zerwać jego owoc. Mogła poznać w s z y s t k o! Stałaby się za to potępiona na wieki – zdawała sobie z tego sprawę – ale to była szansa, by uzyskać każdą odpowiedź, stać się równa aniołom.

– To Bóg – odpowiedziała po dłuższej chwili milczenia. – Błądziłam, sądząc, że wiem już prawie wszystko i nic nie może mnie zaskoczyć. Miałeś rację, Jurij, miałeś rację, to coś więcej niż gaz lub pył, to Bóg.

Rosjanin nie odpowiedział. Spojrzał lekceważąco na Juliet, po czym wycofał się z modułu. Miał ważniejsze zadanie niż rozmowa z nienormalną babą – musiał nawiązać kontakt z istotą z innego świata. Wszyscy na niego liczyli, cała Ziemia, ba, cały Układ Słoneczny!

*godz. 9<sup>08</sup> czasu Greenwich*

Juliet modliła się. Nie było to trudne – modlitwa w obecności Boga nasuwa się sama. Wystarczy zamknąć oczy i wyciszyć umysł. Słowa w tym wszystkim nie są najważniejsze, ponad wszystko liczy się uwielbienie.

– Wiem, chcesz poddać mnie próbie, sprawdzić, czy jestem słaba niczym Ewa w Raju. Do tej pory nią gardziłam, uważałam, że zdradziła nas wszystkich, teraz zrozumiałam przed jakim wyborem ją postawiono. Proszę, Boże, daj mi siłę, abym nie zawiodła Ciebie, i siebie, w tej godzinie próby. Błagam, natchnij mnie łaską...

Wychowała się w rodzinie, w której wiara była ważnym aspektem życia. Może jednym z najważniejszych. Wpojono w nią głęboko miłość i pokorę wobec Boga. Nawet późniejsze poświęcenie nauce nie zachwiało jej przekonaniem. Choć większość znajomych Juliet było zagorzałymi ateistami lub traktowało religię jako kulturalny spadek przeszłych pokoleń, przyjmując go, ale nie trwoniąc czasu na jego zgłębianie, ona nigdy nie potrafiła zrozumieć podobnego podejścia. Jak można wierzyć tylko połowicznie? Bóg jest albo go nie ma. Należało przyjąć wszystko lub nic. W jej przypadku – wszystko

Po przesłaniu płynącym z serca na usta nasunęły się jej słowa tradycyjnej modlitwy. Wymawiała je z nabożną czcią, cedząc i delektując się każdym wyrazem, każdą sylabą. One dawały jej siłę i odsuwały od niej grzechy. Wiedziała, że jeśli będzie żałować z całego serca złych uczynków, rozwodu, de facto porzucenia dziecka, dla którego brakowało jej czasu, On jej przebaczy. A wtedy stanie się bliska pokonania swej ludzkiej słabości. O tak, już niedługo zrzuci to słabe, grzeszne ciało i na zawsze połączy się z Bogiem. Wszak przyszedł po nią i teraz będą już na wieki razem.

Jurij był gotów wprowadzić ludzkość w nową epokę. Na nim spoczęła odpowiedzialność za tę chwilę i nie zamierzał zrzucić jej ze swoich barków. Tak, dźwigał straszliwy ciężar, ale jednocześnie rozpieierała go duma. To on jako pierwszy człowiek porozumie się z istotą z innego świata, z innej galaktyki lub wymiaru – miejsce, z którego pochodziła, nie miało dla niego znaczenia. Najważniejsze, że to przybysz *stamtąd*, gdziekolwiek to *tam* nie miałyby się znajdować. Dzięki tej jednej rozmowie przejdzie do historii! Jednak nie zapisanie się na jej kartach liczyło się najbardziej. Jego umysł rozpałała wizja otwierających się przed ludzkością zamkniętych dotąd wrót. A któż mógł wiedzieć lub nawet przypuszczać, co może kryć się za nimi? Na jakie pytania uzyska odpowiedzi? Może nagrodę stanowił lek na wszelkie choroby lub nawet nieśmiertelność! Wystarczyło tylko nawiązać łączność – a on znalazł się najbliżej, nikt nie mógł go w tym uprzedzić.

– Będę pierwszy... – szeptał gorączkowo.

Sięgnął po mikrofon i zawahał się. Na jakiej częstotliwości należało podjąć próbę kontaktu? Jaki zakres fal będzie odpowiadał gościom? Nie wiedział! Lecz czy naprawdę miało to znaczenie? Oni na pewno są w stanie odebrać każdą wiadomość. Nie po to przybyli do niego spomiędzy gwiazd, aby teraz taki szczegół uniemożliwił im rozmowę.

– Mówi Jurij Greszczenko – zaczął – witam was! Dziękuję w imieniu ludzkości, że przybyliście do nas. Chcemy żyć z wami w pokoju. Pragniemy wymiany wiedzy

i doświadczeń. Sądzę... jestem przekonany, że przyniesie nam to obopólne korzyści. Jesteśmy gotowi na przyjęcie do Unii Galaktycznej lub innej organizacji, którą tworzycie...

Malcolm poczuł lekki zawrót głowy i pomyślał z niepokojem, że może to być pierwszy objaw szkodliwego oddziaływania tajemniczego obiektu na jego organizm. Prawdopodobnie promieniowanie wywołało guza mózgu. Takiego samego jak ten, który zabił jego ojca. Tyle że tamten rósł powoli, latami, ten na skutek niesprzyjających warunków pojawił się i wypełnił czaszkę błyskawicznie. Tak, nie mogło chodzić o nic innego, zbliżał się koniec. Zamknął na chwilę oczy i wrażenie przyszło – znów czuł się normalnie.

Spojrzał na Juliet, która klęcząc, nieprzerwanie modliła się do sinofioletowego obłoku i zrobiło mu się jej żal. Swoje ostatnie chwile poświęcała na coś, co było zwyczajną stratą czasu. Zamiast wykorzystać każdy, najkrótszy nawet moment, jaki im tylko pozostał, na cieszenie się życiem, ona biła się w piersi i rozmawiała z niewidzialnym nikim. A przecież jeszcze mogła zaznać radości.

Malcolm przeniósł wzrok z jej skupionej twarzy na pełne piersi. Juliet była piękną kobietą. Przekroczyła już trzydziestkę, choć dawano jej co najwyżej dwadzieścia pięć lat. Na uczelni, gdzie pracowała, często brano ją za studentkę. Mogła skusić niejednego. Tu jednak znajdowali się tylko oni. Oni i chory psychicznie Rosjanin, który nie liczył się zajęty obsesją nawiązania kontaktu z istotami pozaziemskimi. A więc skoro przypadek sprawił, że byli tu razem, mężczyzna i kobieta, czy nie należało tego wykorzystać?

– Juliet... – powiedział cicho.

Nie odezwała się, nawet nie drgnęła, więc zbliżył się do niej i położył rękę na jej ramieniu. Nadal się nie odwróciła, więc przesunął dłoń wyżej na nieosłoniętą podkoszulkiem szyję. Jej skóra wydała mu się w dotyku delikatna niczym aksamit.

Juliet wzdrygnęła się i strąciła jego rękę. Pozostawała zatopiona w modlitwie.

Niezrażony tym Malcolm pogładził ją po włosach. Tak, da jej jeszcze chwilę, niech wymodli się ile chce... Chociaż, czy warto tracić czas, chociażby jeden nie wiadomo jak krótki moment? Przecież już wkrótce zapewne nadejdzie niespodziewany koniec, a wtedy będzie za późno!

– Juliet... – powtórzył głośniej, lecz kobieta się nie obejrzała.

Nie wiesz, co jest dla ciebie najlepsze – pomyślał – ale zaufaj mi, ja o ciebie zadbam, nie stanie ci się krzywda.

Lewą ręką objął ją w pasie, prawą jednocześnie wsuwając pod bawełnianą koszulkę. Chłodna skóra brzucha przyprawiła go o dreszcze pożądania. Pragnął jej, chciał jej

natychmiast! Jego dłoń wciąż wędrowała w górę, aż znalazła się na piersi. Między palcami poczuł twardość nabrzmiałej brodawki i jęknął z zachwytu. Miał wrażenie, że zaraz eksploduje...

*godz. 9<sup>21</sup> czasu Greenwich*

Jurij zaklął i kopnął radio. Dlaczego przybysze milczeli? Próbował przemawiać do nich we wszystkich znanych mu językach, ale nie uzyskał odpowiedzi. Czyżby go nie słyszeli? To niemożliwe! Nie po to pokonali miliardy kilometrów, aby teraz nie móc w stanie się skontaktować. Musieli przecież zawczasu opracować jakiś system – zapewne nie jeden – umożliwiający im porozumiewanie się z innymi rasami. A może to nie ich wina? A jeśli to rząd – najprawdopodobniej amerykański, choć nie można było wykluczyć, że w tej kwestii współpracowali z nimi Rosjanie i Chińczycy, a może i wszystkie inne rządy na Ziemi – wprowadził zabezpieczenia na podobną ewentualność? To nie tylko wydawało się możliwe, to było cholernie prawdopodobne!

– Nie chcę, abyśmy dowiedzieli się prawdy! – wrzasnął.

Musiał coś wymyślić. Przecież nie może tak łatwo się poddać! Nie powstrzyma go jakaś zmyślna blokada uniemożliwiająca mu skontaktowanie się przez radio. Z pewnością znajdzie inny sposób.

Tylko jaki?

Sygnaty dźwiękowe, takie jak u Spielberga, nie wchodziły w grę – nie mógł przesłać ich w próżni – zresztą jak miał to zrobić, nie posiadając żadnych instrumentów? Światłne? Tak, to jeszcze było wykonalne. Lecz na czym oprzeć dialog? Na alfabecie Morse'a? Czy to możliwe, by przybysze go znali? Być może należało użyć wzorów matematycznych, ale jak je przekazać za pomocą zwykłych błysków?

A może...? Tak, dlaczego nie wpadł na to wcześniej? Ciężar rozmowy powinien spaść na gości – to oni przemierzali galaktykę, aby się tu znaleźć. On musiał zrobić tylko jedno – dostać się do nich, na ich statek. Tam już nic nie przeszkodzi mu w porozumieniu się, żadne tajne stowarzyszenia czy rządowe spiski.

Potrzebował tylko pojazdu, który zaniósłby go w kierunku obcych. Małego, jednoosobowego pojazdu, którym mógł być na przykład... skafander kosmiczny! Wykorzystując odrzutowy plecak, skonstruowany, aby móc swobodnie poruszać się w przestrzeni wokół stacji, mógł bez większych problemów dostać się do gwiazdnych przybyszy.

Jedyną niedogodność stanowił czas. Wartość ciśnienia tlenu w skafandrze wynosiła tylko niewiele ponad jedną czwartą ziemskiego, przed jego nałożeniem należało przystosować się do nowych warunków oddechowych. A to z kolei było procesem równie uciążliwym jak długotrwałym. Zmarnuje kilka godzin bezcennego czasu. Jurij, nie zwlekając, ruszył w kierunku węzła cumowniczego. Nie chciał tracić dodatkowo ani sekundy więcej.

Juliet poczuła na ciele dłonie Malcolma i objął ją strach. Dotykał jej Szatan – była tego pewna. Pomiot piekielny, który chciał zaprzepaścić jej szansę na połączenie się z Bogiem. To nie Webber, mężczyzna stanowił jedynie maskę, za którą skrył się największy wróg niebios, aby udając jej przyjaciela, móc być blisko i kusić. Ale ona nie czuła się już tak słaba jak wcześniej. Zdążyła spłynąć na nią część łaski i to dało jej siłę do walki.

– Pocałuj mnie, Juliet – do jej uszu doszedł szept, a wraz z nim dobrze wyczuwalna woń dymu i siarki.

– Odejdź, precz, diable! – krzyknęła, wrywając się z uścisku.

– Pocałuj mnie, Juliet, zanim nadejdzie koniec, mamy tak mało czasu, pocałuj mnie!

Odwróciła się i zobaczyła, że Szatan przestał się ukrywać. W końcu przybrał swą prawdziwą postać. Jako jedna z niewielu mogła przekonać się, jak wygląda naprawdę.

Mierzył blisko trzy metry, co w ciasnych pomieszczeniach stacji znacząco utrudniało mu ruchy, miał szpetną głowę kozła, zakończoną długimi krętymi rogami, i giętki ogon, który lubieżnie wykonywał krótkie ruchy w przód i w tył. Jak przystało na Pana Podstępu przystosował się do nieważkości – zamiast nóg bestia dysponowała dodatkową parą rąk zwieńczoną poźółkłymi szponami. Na myśl, że jedna z tych łap dotykała jej piersi, Juliet zrobiło się niedobrze.

– Nie pokonasz mnie, ze mną jest Pan – powiedziała wolno, wkładając w to całą odwagę, jaką tylko potrafiła z siebie wykrzesać.

Szatan zaśmiał się i, zrywając z siebie ubranie, ruszył w jej kierunku.

Malcolma zaczęło ogarniać podirytowanie. Ta suka niczego nie rozumiała. Przecież nie zamierzał zrobić jej krzywdy. Wręcz przeciwnie, pragnął, aby ostatnie godziny, a może jedynie minuty, jakie im pozostały, przeżyli najpiękniej, jak to możliwe – Kochając się.

– Juliet, pocałuj mnie. Nie zaprzepaśćmy ostatnich chwil życia – powiedział, mając jeszcze nadzieję, że logika jego słów w końcu do niej dotrze.

– Zostaw mnie, diable, nie ulegnę fałszywym podszeptom, precz!

Diabeł, Szatan, i tak w kółko. O czym ona bredziła? Najwyraźniej jej mózg został już uszkodzony. Jednoznaczny dowód, że mają coraz mniej czasu. Ich życie się kończyło i należało wycisnąć z niego ile tylko się da. W obliczu śmierci pozostaje jedynie się weselić. Jeśli ta dziwka nie chce po dobroci, będzie zmuszony użyć siły. Przecież robił to również dla jej dobra.

– Nie bój się, zaopiekuję się tobą – powiedział łagodnie, ściągając koszulkę.

Juliet cofnęła się i zaczęła odmawiać kolejną modlitwę. To rozwścieczyło go jeszcze bardziej. Kiedy ta głupia krowa zrozumie, że żaden Bóg jej nie pomoże? Że w życiu liczy się wyłącznie radość płynąca z drobnych i większych przyjemności? Doskoczył do niej i uderzył ją otwartą dłonią w policzek.

– Ciesz się, suko, masz się cieszyć! – wrzasnął.

Juliet jęknęła głośno, ale nie poddała się. Niczym kotka przyparta do muru drapnęła go paznokciami. Malcolm poczuł jak coś ciepłego spływa mu po twarzy. Przeciągnął ręką po policzku, stwierdzając z przerażeniem, że dłoń umazana jest krwią.

Pozbawione skóry tkanki napromieniują się szybciej – przebiegło mu przez głowę. – Zabijała go! On chciał jej pomóc, a ona go zabijała!

– Ty dziwko! – ryknął i walnął Juliet jeszcze raz w twarz, tym razem pięścią.

Pod wpływem uderzenia kobieta wpadła na ścianę. Pociemniało jej przed oczami. Poczula jeszcze, że Webber doskoczył do niej i w pośpiechu ściągał jej spodnie, po czym straciła przytomność.

Malcolm tryumfował. Rozebrana Juliet bezwładnie lewitowała przed nim, a on gwałtownie zrzucał z siebie resztę ubrań. Nim jednak zdążył rozebrać się do końca, jego głowę przeszły ostry ból.

– To koniec, za późno... – wybełkotał, nim dopadła go ciemność.

W mroku zabłysło światełko. Było słabsze niż najmniejsza z gwiazd, jedna pośrodku bezbrzeżnego, czarnego nieba nocy, i jeszcze bardziej odległe. Zdawało się pulsować, lecz – być może – wrażenie to powstawało, gdyż w jego bladych promieniach kryło się życie. A może nie życie, tylko istnienie. Nawet jeśli zabrzmi to niczym bredzenie szaleńca, owo światło nie potrzebowało życia, gdyż samo w sobie stanowiło świadomość. Energię zakłęta w Intelkt. Rozum zbyt czysty i prawdziwy, aby można było to pojąć.

Światło rosło, ale im zdawało się bliższe, stawało się coraz bardziej tajemnicze. Po chwili dobiegało zewsząd i wtedy, obserwatorze, nagle nabierałeś przekonania, że nie było

samo. Otaczały je inne, bracia i siostry, tysiące, miliony, miliardy światła. Blask poznania Wszechświata.

W tej zorzy, pulsującej myślą, pojawiła się znikąd gwiazda. Przy owej paradzie oślepiających słońc jej blask zdawał się mizerny niczym kaganek przy płonącym Rzymie. Jej światło gubiło się w morzu jasności, nie mogąc przeniknąć przez i poza niego.

Jednakże nie ta marna imitacja ich świetności zdawała się pociągać boginie jasności. Skupiły się wokół małej planety, kruchej i niepozornej nawet wobec gwiazdy matki, a co dopiero wobec nich, prawdziwych słońc wszechrzeczy.

Planeta nie była w żaden sposób wyjątkowa. Zwyczajna bryła monotennie okrążająca w niekończącej się wędrówce swą stwórczynię. Bryła ulepiona z materii – nieciekawego, brudnego tworzywa, nic nie znaczącego wobec sił życiodajnej energii.

Na powierzchni tego nie wyróżniającego się niczym globu pojawiło się coś nowego. Nie było to zdarzenie ani nagłe, ani niespodziewane, ale przykuło uwagę świetlnych wędrowców. Pochłonęło je na moment – jeśli można tak powiedzieć o nich, dla których czas nie stanowił żadnej wykładni ani granicy.

Bezwartościowa materia poruszyła się. Nie wskutek działających na nią niepozornych sił, które rządzą jej prawami, ale wewnętrznym nakazem – materia poruszyła się sama z siebie! Niezmiernie mały punkcik, blednący przy ogromie planety, drgnął. Niezdecydowanymi ruchami przemierzał przestrzeń, aż na swej drodze znalazł inny, nieruchomy okruczek. Przywarł do niego i przez moment wydawało się, że będzie to koniec niecodziennego widowiska. I wtedy wydarzyło się coś dziwnego. Niepozorna drobina, która stanęła mu na drodze, znikła. Została wchłonięta.

Światła unoszące się nad tym, do niedawna jeszcze pustym, światem wciąż pulsowały ukrytym istnieniem, nie wyrażając niczego. Czekwały... jeszcze czekały.

Mały punkt, który ich tak zajął, urósł. Nie była to istotna zmiana, nadal pozostawał nic nie znaczącą częścią całości Wszechświata, lecz w jego mikroskopijnym świetle następowała prawdziwa rewolucja. I nic nie świadczyło o tym, że zbliża się jej koniec! Wręcz przeciwnie! Drobina drgnęła, jakby walczyła sama ze sobą, i rozpadła się na dwie części. Każda z nich wyglądała identycznie jak pierwowzór. Trudno było stwierdzić, czy są one dziećmi nieistniejącego już rodzica, czy jedna z nich niejako urodziła drugą. Odpowiedź na to pytanie odeszła w zapomnienie, gdyż oba punkciki zaczęły chaotycznie przemierzać otoczenie w poszukiwaniu kolejnych ofiar – lawina ruszyła.

Światła, monotennie pulsując, tkwiły na swoich miejscach.

Panował spokój. Pozornie nic się nie stało – planeta wciąż podążała przed siebie. Jednak w całym układzie zaszła pewna zmiana – jej siostra, bratnia dusza w tej wędrówce, jakby nie słuchając odwiecznych praw, obrała nowy tor, wyruszyła ku niej na spotkanie. Dogonienie uciekiniarki zabrało mnóstwo czasu, lecz koniec mógł być tylko jeden. Dwie bryły, posłuszne nakazowi, który je ku sobie pchnął, spotkały się. Zderzenie rozbiło je obie, aby z ich resztek sklecić jedno ciało, a właściwie jedną planetę i jej małego towarzysza. Ta katastrofa nie wydawała się niczym nowym w tym młodym, wciąż formującym się układzie słonecznym. Być może należała do jednych z ostatnich wielkich zderzeń, zanim system osiągnął jaką taką stabilność, lecz na pewno nie była pierwszą.

A po niej światła zaczęły przygasać. Odpływały.

Ciemność zdawała się trwać w nieskończoność, aż nagle pojawiło się w niej ciało błyszczące blaskiem gwiazd odbitych od jego powierzchni. W regularnych kształtach obiektu kryła się tajemnica jego istnienia. Nie był naturalnym tworem przecinającym pustkę kosmosu – ktoś go stworzył.

I wtedy światła zaczęły wracać – musiały wyjaśnić tę zagadkę.

*godz. 16<sup>47</sup> czasu Greenwich*

Głowę Juliet rozrywał potworny ból. Z trudem otworzyła oczy i natychmiast zamknęła je z powrotem oślepiona jasnością panującą dokoła. Dopiero gdy trochę oprzytomniała, zrozumiała, że we wnętrzu stacji nie ma więcej światła niż zwykle, to tylko jej oczy musiały przyzwyczać się do nowych warunków, tak jakby wcześniej długo przebywała w ciemnościach. Może zresztą tak i było? Coś się wydarzyło, choć nie mogła sobie przypomnieć co. Przed oczami przemknął jej obraz zderzających się planet, ale nie rozumiała go, był dla niej obcy. Dopiero wtedy uzmysłowiła sobie, że jest naga. W pierwszej chwili o mało nie wybuchła śmiechem, lecz po chwili przyszło zażenowanie. A jeśli ktoś ją zobaczy? Dotknęła ręką twarzy i przeszył ją ostry ból. Wraz z nim powoli zaczęła wracać pamięć. Ktoś próbował ją zgwałcić. Diabeł? Nie wiedziała, dlaczego właśnie on przyszedł jej na myśl. Nie, to chyba był... Malcolm?

Rozejrzała się po pomieszczeniu. Nieprzytomny, niemal nagi Webber znajdował się na wyciągnięcie ręki. Dookoła, rozrzucone po całym module, unosiły się ich ubrania. Juliet pośpiesznie nałożyła coś na siebie i dopiero wtedy ostrożnie potrząsnęła bezwładnym ciałem kapitana.

Malcolm zareagował dopiero na któreś z rzędu szarpnięcie, gdy Juliet, coraz bardziej przerażona, zaczęła się zastanawiać, czy nie ma przed sobą trupa. Otworzył oczy



i błyskawicznie ponownie zamknął powieki. Tak, jak ją przed chwilą, światło raziło go w oczy.

– Malcolm, dobrze się czujesz? – zapytała.

– Juliet, to ty? – odpowiedział słabym, ledwie słyszalnym głosem. – Moja głowa...

Dlaczego tu jest tak jasno?

– Tu nie jest jasno – odpowiedziała, z trudem dobierając słowa – to nasze oczy... muszą się przyzwyczać.

Malcolm leżał dłuższą chwilę milcząc. Gdy ponownie otworzył powieki, spojrzał niepewnie na kobietę.

– Juliet, czy ja... próbowałem...? Pamiętam jak przez sen... ale dlaczego?

– Tak, próbowałeś, ale nie mówmy o tym, może to ten...?

Przerwał jej nagły hałas. Podniosła głowę i zobaczyła zbliżającego się Jurija.

Mężczyzna był strasznie blady i poruszał się niepewnie, tak jakby robił to po raz pierwszy w życiu. Nieważkość nie pomagała mu, wprost przeciwnie – wykonując niezgrabne ruchy, przy każdym odbiciu wpadał na ściany.

– Żyjecie? – spytał, gdy znalazł się przy nich.

Juliet wysłała mu słaby uśmiech, a Malcolm machnął ręką. Rosjanin najwyraźniej wziął to za pozytywny znak, bo także uśmiechnął się blado.

– Dlaczego on jest prawie nagi? – spytał, wskazując Webbera.

– Nie mówmy o tym – odpowiedziała szybko Juliet.

Malcolm wysłał jej podziękowanie niekształtnym grymasem, ale delikatnym ruchem głowy zaprzeczył.

– Musimy mówić – stwierdził – może wtedy zrozumiemy, co się stało. Próbowałem ją zgwałcić. Próbowałem zgwałcić Juliet.

– Co? – Jurij otworzył szeroko usta ze zdumienia.

– Ty bełkotałeś coś o unii przeciwko Klingonom i że wiesz, gdzie jest siostra Muldera – bronił się Webber.

– Ja widziałam Szatana. Wszystkich nas to dotknęło i... – Juliet przerwała, bo przed oczami ponownie stanęła jej wizja zderzających się planet.

Malcolm spojrzał na nią uważnie.

– Juliet, nic ci nie jest?

– Miałam sen, może wizję... – zaczęła ostrożnie.

– Światła! – Twarz Rosjanina zbladła jeszcze bardziej.

– O czym wy mówicie? – spytał kapitan, ale w jego głosie brzmiało nie tyle zdziwienie, co strach.

– Pulsujące, żywe światła! – Juliet prawie to wykrzyczała.

Wraz z obrazem ich blasku wróciła do niej pełna wizja, a z nią resztką tego, co dotąd spychała gdzieś w głąb siebie, gdyż nie chciała o tym pamiętać. Było to zrozumienie. We śnie została przekazana jej wiedza, objaśnienie tego, co zobaczyła. Tylko że ona jej nie chciała, wolałaby pozostać nieświadomiona, wolałaby umrzeć nie wiedząc.

– O czym wy mówicie? – powtórzył Malcolm, lecz w jego własnych oczach kryła się odpowiedź na zadane pytanie. Cała prawda, której nie chciał przyjąć.

– Światło – zaczął Jurij, patrząc na Juliet, jakby oczekując od niej potwierdzenia – przybyło do naszego systemu przed miliardami lat, w czasach gdy był on jeszcze młody. Wybrało go jako leżący na uboczu, mało ważny układ, w sam raz na przeprowadzenie eksperymentu...

– Maszyny von Neumanna – wtrąciła Juliet.

– Co takiego? – spytał Webber.

– Pewien żyjący w pierwszej połowie dwudziestego wieku amerykański matematyk pochodzenia węgierskiego, John von Neumann, opracował model matematyczny czegoś, co można nazwać uniwersalnym konstruktorem. Późniejsi entuzjaści życia pozaziemskiego wykorzystali go do swych rozważań o sondach-robotach, które mogłyby spenetrować Wszechświat. To była teoria. Pomysł o tyle prosty, co niewykonalny. Należało stworzyć maszyny, najlepiej o niewielkich rozmiarach, zdolne do budowy z prostych, łatwo dostępnych elementów swych własnych replik – wyjaśniła.

– Oni, światła, to zrobili... – Głos Rosjanina zabrzmiał jak pisk.

Malcolm patrzył na nich rozszerzonymi ze strachu oczami, on także zaczął sobie przypominać.

– Komórka – powiedział martwym głosem – stworzyli pierwszą komórkę...

– Stworzyli, lecz przestraszyli się wyników eksperymentu – ciągnął Jurij. – Uznali go za zbyt niebezpieczny, ale też niegodny, brudny. Nie chcieli tworzyć imitacji życia, opierając jej na czymś tak odpychającym jak materia. Jednak komórki mnożyły się w zawrotnym tempie, musieli coś z tym zrobić. Skierowali w kierunku Ziemi inną planetę, ich zderzenie miało na zawsze zetrzeć wszelkie ślady eksperymentu. I prawie im się udało...

– Ale to niemożliwe, to przeczy nauce. – Malcolm ukrył twarz w dłoniach. – Juliet powiedz, że to niemożliwe!

– Przykro mi, to się nawet zgadza, są ślady... – Kobieta płakała. – Nasz stary, poczciwy Księżyc powstał, gdy – jak sądzimy – w Praziemiu uderzyło ciało wielkości Marsa.

– Na tym wszystko miało się zakończyć – kontynuował niezrażony Jurij – ale coś sprowadziło ich z powrotem.

– Voyagery – zaśmiała się nerwowo Juliet. – Nasze dumne pozdrowienie dla innych mieszkańców galaktyki.

– Niemożliwe, przecież one nie dotarły zbyt daleko, na dobrą sprawę nie opuściły jeszcze Układu Słonecznego.

– Może światła nie wycofały się całkowicie, może pozostawiły straż lub w jakiś inny sposób obserwowały dawne laboratorium? Nie sądzę, abyśmy mieli się tego kiedykolwiek dowiedzieć. Przybyli, aby naprawić swój błąd, i zrobią to.

– Jaki błąd? – Malcolm wodził błędnym wzrokiem po twarzach towarzyszy. – Nie jestem żadnym błędem, który należy usunąć, jestem człowiekiem, żywą, czującą istotą. Oni muszą to zrozumieć!

– Dla nich jesteś tylko robotem, dokładnie zbiorem maszyn, które wykonują zadany ci program. Niczym więcej niż skomplikowany komputer. Co byś zrobił, gdyby twój domowy PC zaczął nagle wyrażać własne zdanie? Gdyby zaczął tworzyć i zastanawiać się, a przede wszystkim wygłaszać poglądy sprzeczne z twoimi? Wyłączyłbyś go w diabły i postarał się, aby już nigdy nie zadziałał. Światła zrobią to samo – Jurij pogardliwym tonem zwrócił się do kapitana.

– A ja? Moja osobowość, uczucia, marzenia? Przecież nie myślę tylko o jedzeniu i pieprzeniu się?

Greszczenko pokręcił z rezygnacją głową.

– Nie ma ciebie, jest tylko program, taki bardziej skomplikowany Windows czy coś w tym stylu. Zrozum, jesteś maszyną, nie z tranzystorów, ale z krwi i kości, w końcu to dla nich to samo! Stworzyli jednokomórkowca, tak jak ty mógłbyś wyprodukować kalkulator lub sztucznego, niby myślącego, japońskiego pieska.

– Bóg, dusza, życie... tego wszystkiego nie ma. Cała planeta, wszystkie rośliny i zwierzęta, to nic więcej jak rak, który toczy Ziemię. Pieprzona gangrena na żywym ciele kosmosu. Choróbsko, które należy usunąć. – Juliet głośno łkała.

– Nie, nie, nie poddamy się tak łatwo, muszą dać nam szansę, muszą! A sztuka, religia, wszystkie wartości wyższe, to się nie liczy? Można to tak sobie wykasować? Nieważne czy pierwsza komórka to dzieło natury, czy jakiejś przerośniętej żarówki, na nas składają się setki milionów lat ewolucji. Domagam się sądu, próby, szansy... – Głos Malcolma załamał się.

– Już nam ją dali, nie przeszliśmy, *gameover*. – Rosjanin zaśmiał się głośno. – Nie rozumiecie? Nasz dzisiejszy obłęd był próbą. Chcieli sprawdzić co nami kieruje, na jakie wyżyny się wznieśliśmy. I daliśmy im popis, jak cholera! A teraz wiedzą o nas więcej niż my sami. Rozłożyli nas na czynniki pierwsze, zanalizowali, a następnie wyrzucą do kosza. Dziwi mnie, że jeszcze żyjemy, ale w końcu nie muszą się śpieszyć, mają czas. Tym razem nie popełnią błędu, zgładzą nas i całą Ziemię.

– Musimy ostrzec innych ludzi. – Juliet starała się powstrzymać łzy, ale te płynęły nieprzerwanym strumieniem.

– A co to da? – mruknął Jurij, po czym klepnął Malcolma w plecy: – Cholerne miejsce, nie? Ani grama alkoholu, na Ziemi moglibyśmy się choć napić. Żal tak umierać o suchym pysku.

– Tam jest moja córka... – przerwała mu Juliet.

– Twoja córka, zresztą tak samo jak ty, jest już martwa, mamusko. To tylko kwestia czasu, tylko kwestia czasu. – Zaśmiał się histerycznie.

– Nie mów tak! – syknęła.

– Dlaczego? Kto mnie powstrzyma? Ty, a może twój Bóg, którego -jak się już chyba ostatecznie przekonałaś- nie ma? Całe dzieło pankreacji okazało się wypadkiem przy pracy! Jesteśmy złomem wyrzuconym na śmietnik, który jakimś cudem ożył, zamiast zgnić. Nie ma tu miejsca na dusze i anioły!

Juliet nie wytrzymała. Cały jej świat, przekonania, wszystko okazało się fałszywe. Nie istniało nic w czym mogłaby znaleźć oparcie. Obdarta z siły wpojonych wartości czuła się naga. Jedyne, co w niej pozostało, to gniew. Dotąd kontrolowany, nagle eksplodował z pełną mocą.

Rzuciła się na Rosjanina, starając się podrapać go paznokciami. Greszczenko uchylił się, jednak nie był na tyle szybki, aby całkowicie uniknąć ataku. Palce kobiety przejechały mu po policzku, nie czyniąc większej krzywdy. Zamachnęła się, aby oddać, lecz w porę powstrzymał wyprowadzany cios.

– Uspokój się! – krzyknął. Nagły atak Juliet przywrócił mu przytomność umysłu, przestał się śmiać, a jego spojrzenie nie było już rozbiegane. – Przepraszam, nie powinienem tak mówić, przepraszam!

Juliet sprawiała wrażenie, jakby chciała ponownie rzucić się na niego. Zamiast tego zasłoniła twarz dłońmi.

– Katy... oni wszyscy tam umrą – załkała.

– Ciii, tak, nie płacz, tak widocznie musiało być. – Jurij przytulił ją, starając się uspokoić.

Malcolm, lewitujący dotąd w pozie zwiniętego w kłębek embrionu, podniósł głowę i popatrzył na nich złowrogo.

– Ja nie umrę – powiedział zimno. – Przekonam ich, nie umrę.

– Co zrobisz? Pójdiesz i poprosisz o jeszcze jedną szansę? Pogódź się z tym, że jesteś już trupem! – Rosjanin wypuścił z objęć Juliet i zbliżył się do Webbera.

– Nie jestem trupem! Ja żyję! – ryknął kapitan i odbił się w kierunku Jurija. Złapał go za gardło i ścisnął z całych sił. Trzymając tak, uderzał głową Greszczenki o ścianę modułu. – Nie dam się zabić, powstrzymam ich i wy mi w tym nie przeszkodzicie! – wrzeszczał.

Juliet w jednej chwili znalazła się przy walczących i bijąc Malcolma po rękach, starała się zmusić go do rozluźnienia uścisku. Nie przyniosło to żadnych rezultatów, więc ugryzła kapitana w nadgarstek.

Webber krzyknął z bólu. Uwolnił jedną rękę, drugą nadal trzymając w morderczym uścisku na gardle przeciwnika, i zamachnął się na kobietę.

Cios pozbawił Juliet tchu. Przez moment przed jej oczami wirowały ciemne plamy. Gdy zebrała się w sobie, stwierdziła z przerażeniem, że wokół głowy Jurija zbierają się malutkie, idealnie kuliste bańki krwi. Unosząc się w powietrzu, tworzyły nieforemną aureolę.

– Przestań! – wrzasnęła.

Malcolm wypuścił bezwładne ciało Greszczenki i tępo spojrział na Juliet.

– Nie umrę – powtórzył głosem, w którym już w tej chwili trudno było dopatrzeć się oznak życia.

Zwariował – pomyślała. Testy psychologiczne i szkolenia w pokonywaniu sytuacji stresowych zdały się na nic, rzeczywistość przerosła wszelkie oczekiwania. Napięcie zepchnęło go w odmęty szaleństwa. Stał się całkowicie niepoczytalny... i groźny.

– Malcolm, nie umrzesz, nic nam... nic ci nie będzie – powiedziała, widząc, że mężczyzna kieruje się w jej stronę. Musiała go ułagodzić, inaczej mogła skończyć jak Jurij. Zerknęła w stronę Rosjanina. Lewitował obrócony do niej tyłem, ale nie była pewna, czy chciałaby zobaczyć jego twarz. Coś jej mówiło, że Greszczenko nie żyje.

– Jesteś z nim w zмовie, oboje pragniecie mojej śmierci – wydyszał Webber.

– Malcolm, nie, naprawdę, przecież jesteśmy przyjaciółmi... – Juliet już nie miała sił na ły.

– Kłamiesz! Muszę do nich iść, ale ty mi na to nie pozwolisz. Dla ciebie życie nie ma wartości. Ale ja się tak łatwo nie poddam.

– Naprawdę, Malcolm, ja... nie będę ci przeszkadzać, proszę... błagam... – chciała coś jeszcze powiedzieć, ale Webber przerwał jej, uderzając ją z całej siły w twarz. Poczowała jak jej nos eksploduje i straciła przytomność.

*godz. 21<sup>03</sup> czasu Greenwich*

Malcolm wydostał się na zewnątrz. Przygotowania zabrały mu mnóstwo cennego czasu, ale wierzył, że zdąży. Musiał zdążyć!

Poruszanie się w kilkuwarstwowym kosmicznym skafandrze nie stanowiło dla niego nowości. Na Ziemi spędził setki godzin, nosząc go podczas ćwiczeń w basenie mającym symulować stan nieważkości i otwartą przestrzeń kosmosu. Jednak obecne wyjście poza stację było jego pierwszym prawdziwym kosmicznym spacerem, gdyż mimo kilku pobytów na orbicie, nigdy jeszcze nie miał ku temu sposobności. Wbrew obawom i mimo debiutu wszystko szło sprawnie. W pewnym sensie było nawet łatwiej, w odróżnieniu od prób w basenie teraz ruchów nie krępowała woda.

Kosmiczny przybysz znajdował się niedaleko, lecz i tak aby się do niego dostać Webber potrzebował plecaka odrzutowego. Mężczyzna założył go. Kolejny cholerny debiut. Zmełł w ustach przekleństwo. Urządzenie było duże i ciężkie, lecz na orbicie, przy zerowej grawitacji, cechy te nie miały większego znaczenia.

Popchnął dźwignie sterownicze umieszczone na końcu wysięgnika stanowiącego oparcie na ramiona i odwróciwszy się w kierunku sinofioletowego obłoku, ruszył w jego stronę. Plecak poruszał się, wyrzucając z siebie strumienie sprężonego azotu. System automatycznie wybierał dyszę ustawioną tak, by obrać właściwy kierunek lotu.

Światło z jakichś przyczyn nie było tak jasne jak w wizji. Właściwie ledwie odróżniało się od czarnego – choć rozgwieżdżonego – tła. Jednak tak samo pulsowało i nadal sprawiało wrażenie, że czai się w nim życie i świadomość. Tylko jego blask zdawał się przytłumiony, tak jakby przybrało barwy żałoby.

*godz. 21<sup>45</sup> czasu Greenwich*

Juliet otworzyła oczy. Rozbity nos tętnił pulsującym bólem i uniemożliwiał skupienie się. Gdzie jest? Co się stało? Spróbowała ruszyć ręką, lecz okazało się to niewykonalne. Jakaś siła utrzymywała za plecami jej splecione razem dłonie.

Wkoło panowała przerażająca cisza. Kobieta nie słyszała nic poza własnym ciężkim, powolnym oddechem. Wszystkie inne dźwięki zamarły. Czyżby była sama? Podświadomie czuła, że tak właśnie jest. Ale dlaczego? Dokąd wszyscy odeszli?

Spróbowała się rozejrzeć i kątem oka dostrzegła nieruchome ciało Jurija. To wróciło jej pamięć – w jednej sekundzie oprzytomniała.

– Malcolm?! – zawołała cicho.

Kapitan nie odpowiedział. Prawdę mówiąc była nawet za to wdzięczna. A więc naprawdę zamierzał spotkać się ze Światłami. Przygotowuje się do wyjścia albo i jest już na zewnątrz – nie miała pojęcia, jak długo unosiła się nieprzytomna.

Szarpnęła się, lecz nie zdołała wykonać ruchu. Najwyraźniej mężczyzna związał ją. Węzły zdawały się grube, najprawdopodobniej Webber zrobił je z ubrania. Z braku innych materiałów wykorzystał swój podkoszulek lub coś podobnego. Juliet poruszała dłońmi, aby sprawdzić, czy nie jest w stanie ich rozluźnić. Nie była pewna, lecz miała wrażenie, że ucisk materiału zmałał. Uczucie mogło być wywołane jedynie złudną nadzieją, lecz szarpała dalej. Po chwili nie miała już wątpliwości – węzły puszczały.

*godz. 21<sup>54</sup> czasu Greenwich*

Malcolm dotarł blisko. Tak blisko, że blade światło otaczało go ze wszystkich stron. Teraz, gdy zagłębił się w nie, wydawało mu się ono gęste niczym mgła. Jego szare macki opłotły go i odnosił wrażenie, że nie posuwa się dalej. Został zatrzymany, jakby istota zastanawiała się, co z nim zrobić.

Nagle ogarnęło go zwątpienie i przerażenie. Jak zwrócić się do przybysza? A co jeśli Twór go nie zrozumie lub nie będzie chciał słuchać?

– Przybyłem – wychrypiał – musisz... musicie mnie wysłuchać.

Istota nie odpowiedziała, więc kontynuował:

– Nie zasłużyłem, aby umierać, nie jestem maszyną...

Światło pozdrowiło Malcolma. Głos rozległ się w słuchawkach jego hełmu. Zrobiło to po angielsku, niemiecku, rosyjsku, francusku i w dziesiątkach innych języków, których nie rozpoznał. Na koniec rozległ się dziwny dźwięk i Webber dopiero po chwili uświadomił sobie, że to śpiew wieloryba.

– Nie możecie dysponować cudzym życiem! – krzyknął, gdy przekaz ustał.

Światło zabłysło na chwilę krótszą niż jedna sekunda i przez ten jeden moment odzyskało swą oślepiającą jasność. Malcolm poczuł, że włoski na jego ciele stają dęba. Nie

mógł ich zobaczyć, ale był pewny, że wszystkie, co do jednego, ustawiły się w pionie niczym kompania honorowa witająca głowę państwa. Zrozumiał, że wyrok zapadł.

– Nie! – wrzasnął. – Nie możecie tego zrobić!

Na jego kombinezonie pojawiła się mała plamka, zupełnie jakby coś próbowało go przepalić. Skafander skonstruowano z myślą o działaniu skrajnych temperatur, ale nieznaną siłą, niezależnie od swojej natury, pokonywała warstwę za warstwą.

Webber popchnął dźwignię, ale nie ruszył się z miejsca, plecak odmówił posłuszeństwa. Przerażony zaczął szamotać się i wrzeszczeć, lecz wiedział, że nie ucieknie. To kosmiczny przybysz ustalał tutaj reguły.

Ze słuchawek hełmu popłynęła muzyka. Był to jakiś znany utwór klasyczny, ale Malcolm nie miał pojęcia, czy to Bach, Beethoven, Mozart, czy ktoś zupełnie inny. Prawdę mówiąc, nie zastanawiał się nad tym. Na brzuchu, na wysokości plamy, którą dostrzegł przed chwilą, poczuł palące ciepło. Uprzytomnił sobie, że to koniec.

Na szczęście dla niego śmierć nadeszła stosunkowo szybko. Gdy ostatnia warstwa kombinezonu została pokonana, przez mały otwór z wnętrza skafandra uciekło w przestrzeń całe powietrze, nawet to ukryte w najdalszych zakamarkach płuc. Po piętnastu sekundach mężczyzna stracił przytomność. Nie czuł już, że jego krew wskutek oddziaływania ciśnienia i temperatury zawrzała. W jednej chwili ciało zostało rozerwane i w kosmos przez szczelinę wydostały się wnętrzności.

Tymczasem w słuchawkach zabrzmiał *Johnny B. Goode* Chucka Berry`ego – ale kapitan już tego nie usłyszał.

*godz. 22<sup>13</sup> czasu Greenwich*

Juliet roztarła zdrętwiałe nadgarstki. Chciała jak najprędzej opuścić tę część stacji, ale obowiązek nakazywał jeszcze jedną rzecz. Musiała upewnić się, że Jurij nie żyje, może był jedynie nieprzytomny i potrzebował pomocy. Nie mogła go opuścić, nawet jeśli i tak niedługo mieli umrzeć.

Na wstrzymanym oddechu zbliżyła się do lewitującego ciała. Zrobiło jej się słabo. Twarz Rosjanina została zmasakrowana. Mimo to musiała zyskać pewność. Dotknęła szyi w nadziei wycucia słabego tętna, ale nie doszukała się go. Skóra mężczyzny była zimna – niewątpliwie miała przed sobą trupa. Przełamując wewnętrzny opór, zamknęła powieki Jurija i odwróciła się.



Opuściła moduł, płacząc, nie zastanawiając się, gdzie idzie. Zatrzymała się dopiero w laboratorium. Pomieszczenie nosiło ślady niedawnego pożaru, ale wyglądało na to, że wszystkie urządzenia nadal działają. Prawie odruchowo uruchomiła komputer i pragnąc wyrzucić z siebie żal, gniew i smutek, zaczęła pisać:

*Pozostałam tu sama, pozbawiona zarówno...*



# NIE BÓJ SIĘ ZASNAĆ

Kamil Bęben

Piotr znudzonym wzrokiem patrzył na miasto przesuające się za oknem. Wyglądało paskudnie, szare i ukryte w mroku. Niebo zasłoniły ciężkie deszczowe chmury, zapowiadając nadchodzący deszcz. Dzień był równie paskudny, jak ten sprzed lat.

Nie chciał o nim pamiętać, ale taka pogoda zawsze przywoływała wspomnienia sprzed lat. Zamknął oczy, przypominając sobie czas, gdy był zwykłym człowiekiem, robiącym wszystko, aby utrzymać rodzinę. Nie myślał, że przyjdzie mu się zmierzyć z czymś znacznie gorszym niż codzienne życie.

Późnym wieczorem wrócił z pracy. Zmęczony wszedł do mieszkania, ciesząc się, że w końcu znalazł się we własnych czterech ścianach. Przywitał go tupot małych stóp. Maja, jego córka, biegła ku niemu.

– Dlaczego jeszcze nie śpisz? — wziął ją na ręce.

– Czekałam na ciebie, tatusiu.

– Byłaś grzeczna?

– ...jak aniołek – usłyszał głos swojej żony.

Ewa stanęła kilka kroków od niego i z delikatnym uśmiechem na ustach patrzyła, jak wita się z dzieckiem. Zawsze dziwił się, że udało mu się ją zdobyć. Była piękna i dobra, żywy skarb. Nie rozumiał, dlaczego wybrała takiego nieudacznika jak on.

Podszedł bliżej, a ona obdarzyła go czułym pocałunkiem. Zawsze tak robiła, gdy wracał z pracy. Był szczęściarzem, że ma taką kobietę, a raczej dwie. Maja przetarła oczy, czas, aby poszła spać.

Zaniósł dziewczynkę do pokoju i położył do łóżka. Starannie przykrył kołdrą i uściskał na dobranoc. Chciał wyjść, był nieludzko głodny, ale ona oplotła jego szyję swoimi rączkami, za nic w świecie nie chcąc go puścić.

– Tatusiu, nie odchódź!

– Będę blisko, nie musisz się niczego bać.

– Nie idź, potwór jest pod łóżkiem!

– Niczego tam nie ma, zaufaj mi.

Nie zdołał jej uspokoić, dlatego położył się na podłodze i spojrzał pod łóżko. Nie było tam żadnej poczwary. Za to kryło się mnóstwo zabawek. Będzie musiał porozmawiać z nią na temat odkładania rzeczy na właściwe miejsce, ale to dopiero jutro.

– Nic tam nie ma, śpij spokojnie, kochanie.

Jeszcze raz uściskał córkę i wyszedł, nie gasząc światła. Nigdy tego nie robił. Maja bała się ciemności i zawsze musiała mieć przy łóżku zapaloną

lampę. Kilkakrotnie próbował namówić ją do jej zgaszenia, ale nigdy się na to nie zgodziła. Była równie uparta jak cała jego rodzina.

Wrócił do kuchni, gdzie Ewa przygotowała mu posiłek, za co był jej wdzięczny. Położyła przed nim talerz z zupą. Wziął łyżkę do ręki i w tej samej chwili mieszkanie wypełnił krzyk ich dziecka.

– Ja pójdę – skierował się do pokoju córki.

Gdy wszedł do środka, zobaczył dziewczynkę skuloną pod kołdrą. Podeszedł do jej łóżka, a Maja, gdy tylko go zobaczyła, mocno się do niego przytuliła. Nie widział jej jeszcze tak przerażonej. Trzęsa się ze strachu, a po jej policzkach spływały łzy.

– Co się stało, kochanie?

– Poszedł sobie?

– Kto taki?

– Potwór! chciał mnie zjeść!

– To tylko zły sen.

– Nieprawda, widziałam go!

Po chwili, gdy nieco się uspokoiła, ponownie położył ją do łóżka, mimo stanowczych protestów. Przykrył ją kołdrą, nie chciał, aby w nocy było jej zimno.

– Śpij spokojnie, niech przyśni ci się coś miłego.

Skierował się do drzwi. Każdemu jego krokowi towarzyszyło przerażone spojrzenie córki. W jej oczkach ponownie zagościł strach. Niemo wzywała go do siebie, chcąc ponownie poczuć się bezpiecznie, ale on nie zawrócił. Wyszedł z pokoju, pozostawiając ją samą.

Piotr zatrzymał się za drzwiami, czując wyrzuty sumienia. Nie mógł zostawić małej w takim stanie. Nie widział jeszcze, aby tak bardzo się bała.

Ponownie wszedł do jej sypialni. Zatrzymał się w progu, widząc, że drżała jak osika, zwinięta w kłębek i ukryta pod kołdrą. Starła się skryć przed potworem, który naprawdę tutaj był i wyszedł spod łóżka, chcąc ją dopaść.

Nie mógł oderwać wzroku od dużego, wielkością przypominającego człowieka, stworzenia na czworakach zbliżającego się do Mai. Wydawało się niematerialne, przypominające cień, który przybrał konkretny kształt. Za to jego ostre szpony u każdej z łap i równie niebezpieczne kły wydawały się bardziej prawdziwe niż cokolwiek innego na świecie.

Wyczuło jego obecność. Powoli odwróciło głowę w jego stronę, pozwalając mu zobaczyć czarne ślepia wypełnione żądzą mordy. Sprawily, że mężczyzna także zadrzał.

Był przerażony, ale nie tak jak jego córka. Zaczęła krzyczeć, co sprawiło, że pokonał swój lęk. Chwycił lampę stojącą przy jej łóżku i uderzył nią zaskoczoną poczwagę, powalając ją na podłogę. Zyskał w ten sposób czas, aby wziąć przerażoną dziewczynkę na ręce.

Maja mocno przytuliła się do niego, za nic na świecie nie zamierzając go puścić. Łzy spływały po jej policzkach, oczy miała czerwone od płaczu. Była taka bezbronna i delikatna.

– Już dobrze, obronię cię.

Nie wiedział, czy mu uwierzyła, miał nadzieję, że tak. Skryła się w jego ramionach, podczas gdy on nie spuszczał wzroku z bestii, wściekłej, że zabrał jej ofiarę.

Widział, że była gotowa do skoku, dlatego wybiegł na korytarz i starannie zamknął za sobą drzwi. Piotr liczył na to, że kawałek cienkiej sklejkki powstrzyma potwora, bo nic innego mu nie pozostało.

– Co się stało? – zapytała Ewa.

Nie odpowiedział. Nie musiał, wystarczyło, że zobaczyła jego bladą twarz i przerażenie ich córki, aby wszystko zrozumiała. Wzięła ją ręce, a ta mocno przytuliła się do matki, szukając u niej schronienia.

Piotr patrzył na dwie kobiety swojego życia, pewien, że musi zrobić wszystko, aby je ochronić. Nie pozwolić bestii dotknąć żadnej z nich.

Potwór nie zamierzał pozwolić im uciec. Mężczyzna dostrzegł cień przenikający pod drzwiami. Z każdą chwilą stawał się coraz większy, aż w końcu zmienił się w bestię.

Ewa zaczęła krzyczeć, Maja tak samo. Przerazone cofnęły się pod ścianę, a on zasłonił je własnym ciałem. Bywają takie chwile w życiu mężczyzny, gdy ten musi stanąć do walki i ta była jedną z nich. Chwycił parasol wiszący na ścianie. Nie miał żadnej lepszej broni pod ręką.

– No chodź! – krzyknął w stronę potwora.

Na stworze nie zrobiło to wrażenia. Wciąż się do nich zbliżał pewny siebie i żądny krwi. Piotr nie zamierzał pozwolić mu na następny krok. Zaatakował, gotowy go zabić, lecz równie dobrze mógłby nic nie robić. Stworzenie odtrąciło go na bok jak szmacianą laskę, nie zwracając sobie nim dłuższej uwagi.

Zbliżało się do jego żony i córki. Piotr chciał wstać i dalej walczyć, ale jego ciało odmówiło posłuszeństwa. Mógł jedynie patrzeć, jak bestia podeszła do jego bliskich. Wyciąga łapę i dotyka policzka Ewy. Ta przerażona zadrżała.

– Uciekaj!

Nie zareagowała sparaliżowana strachem. Poruszyła się, dopiero gdy istota zbliżyła się do Mai, chcąc ją zabrać. Objęła córkę ramieniem, jednocześnie uciekając w stronę drzwi. Zamierzała opuścić mieszkanie, ale zjawą podążyła za nią, odcinając jej drogę.

Jego żona, zdając sobie sprawę z niepowodzenia, obróciła się w stronę zagrożenia, zamierzając bronić dziecka niczym lwica. Odtrąciła szponiastą łapę wyciągniętą w jej stronę, co jeszcze bardziej rozwścieczyło potwora, który rzucił się na nią i zanurzył kły w jej szyi.

Piotr zobaczył wyraz bólu na twarzy ukochanej i krew tryskającą na ścianę.

– Ewa!

Kobieta osunęła się na podłogę wprost w ciągle powiększającą się, szkarłatną kałużę. Piotr zaczął czołgać się w jej stronę, nie przejmując się bólem, który ogarnęło całe jego ciało.

W końcu chwycił jej dłoń. W tej samej chwili usta Ewy poruszyły się, po raz ostatni wypowiadając słowa, które tak często mu mówiła. Niebawem zastygły na zawsze, a jej palce zwolniły uścisk.

– Ja ciebie też.

Wiedział, co się stało. Przepelniony żądzą zemsty spojrzął na stwora, który odebrał mu jego największy skarb. Był gotowy zabić go gołymi rękami. Wstał z podłogi, mimo że nie powinien się ruszać. Rzucił się na niego, nie przejmując się faktem, że nie miał żadnych szans. Zaatakował go, a ten jednym ciosem odrzucił go na bok, pozbawiając świadomości.

Nie wiedział, po jak długim czasie ją odzyskał. Podniósł głowę, spodziewając się, że zobaczy nad sobą stwora, ale nigdzie go nie dostrzegł. Ujrzał tylko martwą żonę i ich córkę leżącą obok niej. Na szczęście dziewczynka żyła.

Sięgnął po telefon i zadzwonił po pogotowie. Karetka zjawiała się po dziesięciu minutach. Sanitariusze zabrali dziewczynkę do szpitala. On pozostał w zniszczonym mieszkaniu, aby odpowiedzieć na pytania policjantów. Opisał im, co się stało, lecz ci mu nie uwierzyli. Po jakimś czasie umorzyli śledztwo, nie potrafiąc znaleźć sprawcy.

Minęło dziesięć lat, a on starał się normalnie żyć, wychowując córkę. Postanowił, że zrobi wszystko, aby była bezpieczna, tylko ona mu pozostała.

Tego dnia podróżował komunikacją miejską. Piotr otworzył oczy, gdy autobus zatrzymał się na jego przystanku. Wsiadł z pojazdu i wszedł do pobliskiego bloku. Wszedł na trzecie piętro i stanął przed drzwiami swojego mieszkania. Przeprowadził się tutaj kilka lat temu. Nie chciał mieszkać tam, gdzie zginęła jego żona.

– Maja, już jestem!

Ładna siedemnastolatka wyjrzała ze swojego pokoju. Jego córka bardzo wyrosła przez te kilka lat. Obdarzyła go znudzonym spojrzeniem, po czym ponownie skryła się w swojej sypialni. Zawsze tak robiła, pojawienie się potwora bardzo ją zmieniło. Wcześniej była radosnym dzieckiem, a po tym wydarzeniu nie odezwała się słowem. Był z nią u kilku specjalistów, jednak żaden nie potrafił jej pomóc. Wszyscy bezradnie rozkładali ręce.

Piotr wszedł do kuchni, aby przygotować sobie kolację. Dostrzegł, że Maja już jadła. Nigdy na niego nie czekała. Chciał zjeść z nią choć jeden posiłek, lecz ona czasem nawet go nie zauważała.

Odgrzał pozostałości wczorajszego obiadu, nie miał ochoty niczego gotować. Szybko zjadł, po czym poszedł do niej, zamierzając z nią porozmawiać. Próbował tego setki, nie – tysiące razy, ale ona nigdy nie odezwała się słowem.

Maja podniosła głowę i spojrzała na niego znudzonym wzrokiem. Siedziała przy biurku i czytała książkę. Szybko wróciła do lektury, jakby jego pojawienie mało ją obeszło.

– Jak było w szkole?

Nie odpowiedziała, nawet na niego nie spojrzała. Tak wyglądały wszystkie ich rozmowy. Czasem miał wrażenie, że mówi do ściany.

Zadał jeszcze kilka błahych pytań. Próbował nawiązać rozmowę na wszelkie sposoby, lecz bezskutecznie.

W końcu zrezygnował i wściekły wyszedł z pokoju. Tak bardzo chciał jej pomóc, a nie mógł nic zrobić. Gdyby był sposób, to nie wahałby się nawet przez chwilę. Marzył tylko o tym, aby usłyszeć jej głos i zobaczyć uśmiech.



\*\*\*

Dochodziła czwarta, gdy Piotr wrócił z pracy. Wszedł do kuchni, gdzie zobaczył Maję siedzącą przy stole z nosem w książce. Podniosła głowę i spojrzała na niego obojętnym wzrokiem.

– Co czytasz?

Nie odpowiedziała, tylko przewróciła stronę, jakby to, co się na niej dzieje, było dużo ciekawsze od niego.

Podszedł do lodówki, był nieziemsko głodny. Zajrzał do środka i w tym momencie usłyszał kroki. Wróciła do pokoju.

Zapomniała swojej lektury, dlatego podniósł ją ciekaw tytułu. Spodziewał się powieści młodzieżowej, ale nie czegoś takiego. Trzymał grubą pracę o zjawiskach nadprzyrodzonych. Jak dostrzegł, skończyła na rozdziale: *Duchy, zjawy i istoty demoniczne*.

Odłożył tom. W tej samej chwili Maja wyszła z sypialni i zabrała książkę ze sobą. Piotr chciał, aby córka towarzyszyła mu podczas posiłku, jednak zanim ją poprosił, wróciła do siebie. Grzebiąc widelcem w talerzu, przeglądał ostatnie wiadomości. Na początku nie trafił na nic interesującego. Dopiero któraś z kolei zwróciła jego uwagę. Mówiła o brutalnym morderstwie wyglądającym jak atak dzikiej bestii. Była tym dziwniejsza, że dokonano jej w zamkniętym od środka mieszkaniu. Policji nie udało się ustalić sprawcy, ale on wiedział, kto za tym stoi. Spotkał to stworzenie dziesięć lat temu.

Przerwał, gdy rozległ się sygnał jego telefonu. Spojrzał na ekran, dzwoniła jego siostra.

– Halo.

– Cześć, mam do ciebie wielką prośbę.

– Co się stało?

– Zajmiesz się Maćkiem? Mam nockę, a nie chcę zostawiać go samego.

– Jasne, przyprowadź go.

– Dzięki, ratujesz mi życie – rozłączyła się.

Dziś wieczorem będzie miał towarzystwo. To nie pierwszy raz, gdy zajmie się siostrzeńcem. Monika wychowywała syna sama, dlatego czasem chłopiec spał pod jego dachem.

Godzinę później rozległo się pukanie do drzwi. Mężczyzna otworzył i zobaczył wyraźnie zmęczoną trzydziestoletnią brunetkę. Obok niej stał ośmioletni kawaler.

– Przywitaj się z wujkiem!

– Dzień dobry.

Piotr uściskał chłopca. Na razie dzieciak był spokojny, ale niedługo zmieni się w wesołego rozrabiakę. Dokładne przeciwieństwo Mai.

– Wrócę po niego rano.

Monika ucałowała synka i poszła do pracy. Piotr zabrał Maćka do salonu. Liczył, że obecność małego urwisa wywoła uśmiech na twarzy Mai i będzie taka, jak przed pojawieniem się potwora, ale nawet nie wyszła z pokoju. Sam będzie musiał zająć się siostrzeńcem.

– Co chcesz robić?

– Grać na konsoli.

– Może w coś się pobawimy?

– W piratów.

– Dobrze, kapitanie.

Maciek był zachwycony tym tytułem. Staął w pozycji dowódcy okrętu szykującego się do abordażu. Piotra czekał niezwykle wieczór. W przeszłości wielokrotnie uczestniczył w zabawach córki, jednak od czasu pojawienia się potwora, w ogóle nie spędzali razem czasu.

Przez następne dwie godziny dobrze się bawili. Chłopiec był wulkanem energii, ciekawym wszystkiego. Miło było ponownie usłyszeć śmiech w domu. On nie potrafił się już uśmiechać. Maja także nie.

Piotr całkowicie zapomniał o upływającym czasie. Dopiero gdy przypadkiem spojrzął na zegar, zrozumiał, że nadeszła pora, aby jego mały gość poszedł spać. Pościelił mu na kanapie. Zadbał, aby chłopiec umył zęby i poszedł do łóżka. Zgasił światło.

Mężczyzna postanowił odpocząć, dopiero teraz poczuł, jak bardzo był zmęczony. Położył się, pewny, że szybko zaśnie, jednak nie zmrużył oka. W tym momencie rozległ się krzyk w salonie, który sprawił, że zerwał się z łóżka.

Pobiegł do sąsiedniego pokoju, myśląc, że jego siostrzeniec miał zły sen. Tak jak się spodziewał, zobaczył go skulonego pod kołdrą, ale powodem jego strachu wcale nie był koszmar, tylko istota zbliżająca się do malca.

Na jej widok Piotr poczuł strach, który i tak był niczym w porównaniu z jego nienawiścią. Od razu rozpoznał czarne jak noc stworzenie. To ono dziesięć lat temu zabiło jego żonę i teraz chciało zrobić to samo z synem Moniki.

Nie pozwoli na to, nie chciał po raz kolejny przeżywać straty bliskiej osoby. Tak samo jak podczas ich pierwszego spotkania, postanowił walczyć. Wtedy nie był gotowy, teraz raz w tygodniu chodził na siłownię, szykując się na starcie, które właśnie nadeszło.

– No chodź!

Istota zatrzymała się i obróciła głowę w jego stronę. Rozpoznała go, dostrzegł to w jej oczach. Pojawiła się w nich żądza mordy, która i tak nie mogła równać się z tą jego.

Mara zaczęła iść w jego stronę, a on właśnie na to czekał. Dobył nóż, który od dziesięciu lat zawsze nosił przy sobie. Poczował się odrobinę lepiej, mając w ręku zimny kawałek stali.

Poczwarą rzuciła się na niego, szczerząc kły i wysuwając pazury. Widział to, ale nie cofnął się nawet o krok, twardo trzymając się swojego postanowienia.

Kiedy znalazła się blisko niego, wtedy zadał cios. Myślał, że zdoła ją pokonać, ale stracił złudzenia, gdy ostrze zanurzyło się w jej ciele i nie napotykając żadnego oporu, jakby przecięło powietrze.

Spróbował jeszcze raz, z podobnym efektem. Zaczął uderzać na oślep, licząc, że którekolwiek z jego pchnięć okaże się skuteczne. Nie mógł jej nic zrobić, ale ona jemu jak najbardziej.

Jednym machnięciem łapy bestia powaliła go na ziemię, po czym stanęła mu na piersi, odbierając dech. Zbliżyła łeb do niego, sprawiając, że mógł spojrzeć jej prosto w paszczę.

– Nie!

Głos, którego nie słyszał od dziesięciu lat, rozdarł powietrze. Piotr zaskoczony obrócił głowę i spojrzał na Maję, do tej pory siedzącą pod ścianą, z rękoma założonymi na kolana. Przerazona, wyglądała jak małe dziecko z załzawioną twarzą i lękiem w oczach.

Nigdy nie myślał, że córka będzie świadkiem jego śmierci. Nie był w stanie nic zrobić bestii, która wydała z siebie ogłuszający ryk i rozwarła jeszcze szerzej paszczę, zamierzając rozerwać go na strzępy.

Myślał, że jego chwile są policzone, zaczął nawet odliczać uderzenia swojego serca, gdy usłyszał kroki, które mogły należeć tylko do młodej dziewczyny. Maja podbiegła do bestii, ściskając w ręku niewielką butelkę. Wylała całą jej zawartość na stworzenie, które odskoczyło jak oparzone, zwalniając uścisk.

Piotr natychmiast wstał gotowy do dalszej walki. Odrzucił nóż i wziął od nastolatki wodę święconą, a następnie zaczął zbliżać się do poczwary, która uciekała przed nim z podkulonym ogonem. Tym razem to on był łowcą, a ona ofiarą.

Nie pozwolił marze zbiec, tylko ponownie ją połał. Zwijając się z bólu, upadła na podłogę, a wtedy zrobił to jeszcze raz. Nie żałował płynu, chcąc zniszczyć to przeklęte stworzenie.

Potwór wił się u jego stóp w agonii, z każdą chwilą stając się coraz bledszy. Rozpływał się w powietrzu w towarzystwie jęków cierpienia. Żaden inny widok nie sprawił Piotrowi większej satysfakcji.

Po chwili po bestii nie pozostał nawet ślad. Mężczyzna dopiero po minucie zrozumiał, co się stało i poczuł ulgę. Zniszczył istotę, która zabiła jego żonę i skrzywdziła córkę. Spojrzał na Maję, wydawała się równie osłupiała, co on. Zbliżył się do niej, a ona po raz pierwszy od dawna nie odsunęła się od niego.

– Już dobrze, on nie wróci.

– Ja...

Jego dziewczynka z trudem wypowiedziała to jedno słowo, wyraźnie walcząc ze sobą. Widząc to, podsunął jej notes i długopis. Niepewnie wzięła go do ręki. Przez chwilę wpatrywała się w białą kartkę, jakby zastanawiała się nad odpowiednimi słowami. W kocu zaczęła pisać.

*Przepraszam.*

– Nie masz za co.

*Mam, potwór mieszkał we mnie.*

– Nie rozumiem...

Nie pozwoliła mu dokończyć, tylko pobiegła do swojego pokoju. Wróciła, dźwigając książkę, którą niedawno czytała. Otworzyła ją na rozdziale o istotach demonicznych i wskazała mu zaznaczony fragment.

– Mam to przeczytać?

Dziewczynka potwierdziła skinieniem głowy, dlatego zabrał się do lektury.

*...na koniec zostawiłem jedną z najrzadszych i najniebezpieczniejszych istot, jakie człowiek może spotkać. Ponocnik to przekłete dziecko nocy czarne jak ona sama...*

W tym momencie nastąpił opis stworzenia, który pominął. Wiedział, że chodzi o istotę, z którą dopiero co walczył.

*...kryje się w cieniu, gdyż nie może znieść światła słonecznego. Chroni się przed nim, przejmując kontrolę nad człowiekiem i zamieszkuje jego ciało. Szczególnie lubi dzieci, bo może łatwo nimi zawładnąć. Kryje się pod ich łózkami i atakuje, gdy się tego nie spodziewają. Biada temu, kto jej w tym przeszkodzi, bo nie zna litości...*

Piotr przerwał czytanie i spojrzał na Maję. Po raz pierwszy od dziesięciu lat rozumiał, co się wydarzyło w nocy, gdy zginęła Ewa.

– Zawładnął tobą.

*Tak, przepraszam tato.*

– To nie twoja wina, nie mogłaś nic zrobić.

Nie był na nią zły, tylko na samego siebie. Jak mógł nie zauważyć, że istota, której nienawidzi z całego serca, ukrywała się pod jego dachem? Cóż z niego za ojciec?

*Widziałam, jak zabijał.*

– Zapomnij o tym, on nigdy nie wróci.

Otarła łzy spływające jej po policzkach, po czym mocno się do niego przytuliła. Pozwolił jej na to, wiedząc, jak bardzo tego potrzebuje. Gdy w końcu puściła, usłyszał hałas dochodzący z kanapy. Dopiero w tym momencie przypomniał sobie o Maćku.

Wziął malca na ręce i zaniósł do swojej sypialni, gdzie położył go we własnym łóżku.

– Tutaj będziesz bezpieczny, śpij spokojnie.

Wrócił do córki. Zaczęli rozmawiać, na co czekał od dawna, chociaż z boku wyglądało to na monolog, bo odpowiadała mu na piśmie. Tak minęła im noc.

O siódmej rano Monika przyszła po Maćka. Na widok matki, urwis jedzący śniadanie zerwał się z miejsca i podbiegł do niej.

– Byłeś grzeczny?

Malec pokiwał głową. Siostra zabrała syna i pojechała do domu, wyraźnie zmęczona po pracy.

Piotr wrócił do przerwane go posiłku. Usiadł przy stole, gdzie czekała na niego Maja. W końcu wyglądali jak rodzina i nie zamierzał zmarnować ani jednej wspólnej chwili.

Minęło kilka dni. Właśnie wybierał się z córką na zakupy, gdy przeszkodził mu w tym telefon. Na ekranie zobaczył nieznany numer.

– Halo!

– Czy pan Piotr Nowak?

– Tak, o co chodzi?

– Komisarz Artur Zięba z komendy miejskiej policji. Monika Nowak to pańska siostra?

– Zgadza się.

– Mam przykrą wiadomość, dziś rano znaleziono ją martwą. Muszę prosić, aby przyjechał pan zidentyfikować ciało.

Zaniemówił, nie wierząc, że mógł stracić kolejną bliską osobę. Potrzebował chwili, aby wydobyć głos z gardła.

– Co się stało?

– Na obecnym etapie śledztwa nie mogę zdradzać żadnych szczegółów.

– Proszę powiedzieć cokolwiek.

– Jej mieszkanie wyglądało, jakby szalała w nim dzika bestia.

– Co z chłopcem?

– Żyje, ale nie odezwał się dotąd słowem.

Telefon wypadł mężczyźnie z ręki. Zrozumiał, że ponocnik jednak przeżył i ukrył się w ciele Maćka, a on uszczęśliwiony odzyskaniem córki nie zauważył tego. Był głupcem i jego siostra zapłaciła za to życiem.

Stworzenie po raz kolejny zabrało mu bliską osobę, ale to koniec. Odnajdzie ją i dokończy to, co niedawno mu się nie udało. Nie spocznie, dopóki go nie zabije.



# OBCE CIAŁO

Rafał Christ

Wejście do nory Johnny'ego wymagało ode mnie nadludzkiego wysiłku. Wpadłem do niej zgarbiony, trzymając się za lewą skroń. Pulsowanie cały czas przyśpieszało, a pod koniuszkami palców czułem, jak gula ciągle się powiększa, sprawiając mi coraz większy ból. Zmieniła też kolor z ciemnozielonego na siny, o czym dowiedziałem się, gdy spojrzałem w lustro, które wisiało nad obdartym skórzanym fotelem. Leżał na nim jakiś młodzik, a monter właśnie szykował się do zainstalowania implantu w jego głowie.



Czarna koszulka z niebieską czaszką sugerowała, że chłopak należy do sekty Hedonistów. Dzieciaki bogatych rodziców buntowały się przeciwko obowiązującemu etosowi pracy i każdą chwilę spędzały na pogoni za przyjemnościami – urządzały wielkie orgie, podczas których ćpali i uprawiali grupowy seks. Mogły sobie na to pozwolić. Nie musiały martwić się o pieniądze, bo za kilka lat rodzice załatwią im dobrze płatne fuchy, w korporacjach, w których sami byli zatrudnieni.

Jak się domyśliłem, w nacięciu na środku czoła młodzika miała znaleźć się metalowa płytką z pojemniczkiem na narkotyki. Klient Johnny'ego nie miał jednak szansy sprawdzić, jak dokładnie działa i czy rzeczywiście dzięki niej używki kopią od razu, a haj można przedłużać bez końca, uzupełniając znajdujący się w urządzeniu pojemniczek. Zanim monter zdążył zainstalować mu implant, zrzuciłem go z fotela i zająłem jego miejsce.

Johnny bez mrugnięcia okiem odłożył trzymany w rękach implant na metalowy stolik po swojej lewej stronie. Młodzik stanął zdezorientowany między nami, a z nacięcia na jego czole ciurkiem spływała krew. Kazałem mu odejść, póki jeszcze żyje. Spojrzał pytająco na montera, który zdobył się jedynie na wzruszenie ramion. Niezadowolony klient odszedł, rzucając w naszą stronę groźby i wyzwiska.

– Odstraszasz mi klientów – powiedział spokojnie Johnny.

– Widzisz to? – wskazałem palcem na rozrastającą się gułę na mojej skroni. – To twój implant. Muszę się go pozbyć.

Johnny nacisnął od dołu prawą gałkę oczną, uruchamiając implant z rentgenem. Dokładnie mnie obejrzał i chwycił skalpel w dłoń. Bezgranicznie mu ufałem, to najlepszy monter w Mordorze – największym zagłębiu korporacyjnym tego świata. Pracował kiedyś dla iDromu. Z najbogatszej i najprężniej rozwijającej się aktualnie korporacji został zwolniony przez swoje zamiłowanie do alkoholu. Na wcale nie takim lekkim rauszu zainstalował pracownikowi zły implant. Zamiast portu USB facet dostał wyświetlacz hologramów z wgranymi trzydziestoma gigabajtami filmów dla dorosłych. Fajny bajer, ale znalazł się na karku, więc w tym wypadku okazał się całkowicie bezużyteczny.

Feralna w skutkach pomyłka nie sprawiła, że Johnny rzucił picie. Wciąż nie wylewał za kołnierz, ale odkąd pozbawiono go licencji, instalował młodzikom podróbki najpopularniejszych implantów iDromu własnej roboty. Dla mnie zawsze kupował na czarnym rynku oryginalny sprzęt. Co ciekawe, płaciłem mu nawet mniej niż te bogate dzieciaki. Monter ich po prostu nienawidził, więc bez wyrzutów sumienia z nich zdierał.

Johnny pewnymi, acz powolnymi ruchami wyciął implant z mojej skroni. Jak lekarz, który właśnie odebrał poród, trzymał przede mną stożkową masę ciała. Wiła się niczym schwytyany wąż. Sycząc to na mnie to na montera, prezentowała metalowe zęby przypominające igły powbijane w poduszczyk, które w perfekcyjnej symbiozie biologii i technologii wystawały z jej otworu gębowego.

– Ładny. Który to? – zapytał Johnny.

– Odczyt – powiedziałem, spoglądając w wiszące nad fotelem lustro. Zauważyłem, że wycięcie implantu odsłoniło sporą część mojej czaszki, która wyglądała na nadgryzioną. – Nie mogę tak wyjść. Instaluj nowy.

– Chyba zwariowałeś.

– Serio, dajesz.

Johnny cisnął agresywną kupą mięsa o podłogę i zanim zdążyła wpełznąć pod fotel, zgniótł ją butem. Wydała z siebie krótki jęk i zamilkła.

– Chyba mam tu jakiś odczyt... Ale stary, wymieniasz czwarty implant w tym miesiącu – powiedział monter, grzebiąc w szufladzie po przeciwległej stronie gabinetu. – Mam, zaraz znowu będziesz widzieć dane, każdej napotkanej osoby. Jeśli ponownie przemieni się w jadowitego węża, to nowego nie dostaniesz.

Skinąłem tylko głową, uśmiechając się do siebie, bo wiedziałem, że teraz Johnny sobie ponarzeka, ale gdy będę w potrzebie, zrobi wszystko, o co go poproszę. Wtedy byłem tego pewien. Już niedługo miałem się jednak przekonać, jak bardzo się myliłem.

– Wiesz, co jest w tym wszystkim najgorsze? – zapytałem, kiedy Johnny przykładał metalową płytkę, do mojej obdartej ze skóry czaszki.

– Że długo nie pociągniesz?

– Nie. Wiesz... Mam wrażenie, że one stają się głodne.

\*\*\*

Po miesiącu pogodziłem się z nowym, pokracznym wyglądem. Całe moje ciało pokrywały poruszające się gule, które przejmowały nade mną kontrolę. Wizyty u Johnny'ego straciły sens, gdy usuwanie jednego implantu zaczęło wiązać się dla niego z pogryzieniem ze strony pięciu innych.

Gdy jeszcze próbowałem z nimi walczyć, do nory Johnny'ego wpadł niezadowolony klient z nacięciem na czole i bazooką w rękach. Już do nas celował, kiedy trzydzieści

implantów w jakimś zrywie instynktu samozachowawczego rzuciło się na niego, w ułamku sekundy pokonując dzielące ich piętnaście metrów. Pokryły go niemal w całości i systematycznie obgryzały. W mgnieniu oka poradziły sobie ze skórą, odkrywając mięso, które mieniło się neonową czerwienią krwi. Krzyk chłopaka tylko krótką chwilę rozrywał pomieszczenie, bo te kupy mięśni wyżerały mu kolejne wnętrzości i niczym w graficznej reprezentacji słynnego powiedzenia, przez żołądek szukały drogi do jego serca.

Po niecałej minucie z chłopaka został tylko szkielet, a implanty pełznąc po podłodze, wróciły na swoje miejsca. Wtedy Johnny z właściwym sobie spokojem odłożył skalpel i stwierdził, że dla niego to za dużo. Otworzył butelkę taniej whisky i zanim pociągnął łyk, kazał mi opuścić gabinet i nigdy nie wracać. Nie żartował. Nie chciał mnie już więcej widzieć. W ten sposób po niemal dwudziestu latach znajomości nasze drogi się rozeszły.

Od tamtej pory nie wychodziłem ze swojego mieszkania. Spędzałem czas tak jak teraz, leżąc na łóżku i gapiąc się w obdarte żółte ściany. Mógłbym opływać w luksusach, bo w tej i trzech innych metach w pobliskich miastach poukrywałem po kilka milionów kredytów. Nie potrzebowałem jednak wiele do szczęścia i nie chciałem wodzić rabusiów na pokuszenie. Dlatego w tym malutkim kwadracie, jedyną wartość miała zgromadzona w drugim pokoju broń. Była dobrze zabezpieczona, więc nawet, jakby rzucający się w oczy ascetyczny wystrój kogoś nie odstraszył i tak nie mógłby jej wynieść.

Jeszcze do niedawna regularnie do mnie zaglądali zmuszeni trudną sytuacją finansową robotnicy bądź członkowie młodzieżowych gangów. Teraz omijają moje drzwi szerokim łukiem. Prawdopodobnie poszła fama, że ludzie tu znikają w tajemniczych okolicznościach, bo parę tygodni temu przerobiłem ośmiu delikwentów na karmę dla implantów. Na szczęście w menu pojawiły się nowe dania. Odgłos strzału i wtórujący mu krzyk zza drzwi właśnie zasugerował porę obiadową.

Policja znowu wyrzucała na bruk robotników, którzy ze swoich głodowych pensji nie mogli opłacić mieszkania. Co prawda, korporacje za darmo oddawały te klitki swoim pracownikom, ale odbijały to sobie marżą na rachunkach. W efekcie po uregulowaniu miesięcznych należności, ludziom pozostawało na życie w najlepszym razie kilkadziesiąt kredytów. Jeśli nie chcieli kraść, tonęli w długach.

Gdy otworzyłem drzwi, zauważyłem kobietę w potarganych i brudnych ciuchach, która płakała nad ciałem zastrzelonego męża. Facet pewnie próbował bronić swojego lichego dobytku, a policjanci nie mieli dla takich osób litości, więc rozprawili się z nim bez mrugnienia okiem. Pozostawili jego żonę samą sobie i kiedy zniknęli z horyzontu, zaprosiłem

ją do siebie, oferując schronienie, dopóki nie wymyśli co dalej. Dobrze jednak wiedziałem, że żadnego dalej nie będzie.

Sąsiadka najpierw z niepokojem spojrzała na poruszające się na moim ciele gule, ale po chwili zdecydowała się skorzystać z mojej oferty. Gdy przekroczyła próg mieszkania i rozplakała się na środku pokoju, ze skrytki nad drzwiami wyciągnąłem pistolet. Nieświadoma moich prawdziwych zamiarów kobieta, dziękowała mi i zaproponowała, że pójdzie ze mną do łóżka. Nie tego od niej potrzebowałem. Strzeliłem jej w głowę i zanim zdążyła paść na podłogę, jeden z implantów zaczął rozciągać moją prawą rękę. Znałem ten dryl i wbiłem się palcami w ciało wdowy, szukając bijącego do niedawna serca. Kiedy je znalazłem zacisnąłem na nim pięść.

Nie musiałem brać dalszego udziału w obżeraniu ofiary. Spokojnym krokiem ruszyłem w stronę łóżka, a implant zadbał, aby moja ręka odpowiednio się rozciągnęła. Wciąż ścisnąłem kobietę za serce, ale teraz mogłem jednocześnie leżeć i gapić się w sufit. Szukałem przy tym wyjścia z beznadziejnej sytuacji, w której się znajdowałem. Moje możliwości były jednak mocno ograniczone.

W ciągu ostatnich tygodni wielokrotnie próbowałem popełnić samobójstwo, ale implanty za każdym razem krzyżowały mi szyki. Nie skończyłem zawiązywać sznura wokół szyi, a one już go przegryzały. Gdy tylko zbliżałem nóż do gardła, przejmowały kontrolę nad moją dłonią i go upuszczaly. Potrafiły też neutralizować działanie narkotyków. Wiem, bo przyjmowałem takie ich dawki, że mogłyby powalić połowę mieszkańców tego miasta naraz, a u mnie wywoływały jedynie lekkie zawroty głowy. Pamiętam też, jak przystawiłem sobie broń do skroni i już naciskałem na spust, kiedy stworzenia z mojej ręki ruszyły, obnażając wszystkie jej kości, aby zatkać lufę. Chroniły swojego nosiciela za wszelką cenę.

Olśniło mnie. Co prawda sam się nie zabiję, ale przecież ktoś inny może to zrobić za mnie. W czasie pracy jako kurier dla wielkich korporacji, zdążyłem narobić sobie mnóstwa wrogów. Mogę pochwalić się stuprocentową skutecznością, co oznacza, że wykiwałem sporo osób z przerośniętym ego. Obrabiałem tak pomniejszych firmy, jak i kolegów po fachu, którzy jakimś cudem zdobyli interesujące moich zleceniodawców dane, sprzęt czy cokolwiek innego przede mną. W swojej branży byłem żywą legendą, znieawidzoną przez konkurencję.

Pamiętam jedno zlecenie, które nie poszło po mojej myśli. Oczywiście, iDrom dostał ode mnie zamówiony modyfikator kwantowy, ale gdy włamałem się do laboratorium nieistniejącego już McNamara Corp, spotkała mnie niespodzianka. Piękna kobieta z długimi blond włosami i w obcisłym lateksie szukała interesującego mnie chipa. Jak się później

okazało, działała na zlecenie NetSky zajmującego się produkcją androidów. Żadne z nas nie wiedziało, że mocodawcy postanowili zabawić się naszym kosztem i założyli się, kto pierwszy zdobędzie urządzenie. Gra niby toczyła się o symboliczny kredyt, ale w rzeczywistości stawka była o wiele wyższa. Chodziło bowiem o tak przełomową technologię, że ktokolwiek wszedłby w jej posiadanie, mógłby usprawnić proces produkcji w wystarczającym stopniu, aby jego firma stała się wiodącą korporacją w Mordorze, a co za tym idzie – na świecie.

Sandra była pochłonięta przeszukiwaniem szafek i nawet nie zorientowała się, kiedy do niej podszedłem. Odwróciła się, dopiero gdy przystawiłem jej broń do skroni. Po krótkiej wymianie zdań zaczęliśmy ze sobą walczyć. Na początku ten morderczy taniec ograniczał się do wymiany ciosów twardymi pięściami i efekciarskich kopniaków. Po chwili w ruch poszły implanty z zatrutymi strzałkami, laserami i, co najgorsze, ogniem. Laboratorium zapłonęło, a my znaleźliśmy się w pułapce. W przeciwieństwie do mojej przeciwniczki olałem modyfikator i szukałem wyjścia. Co prawda się udało, ale gdy już miałem opuścić budynek, dopadły mnie wyrzuty sumienia.

Kiedy wróciłem do laboratorium, Sandra leżała na podłodze przygnieciona przez płonące biurko. Powietrze wypełniał zapach spalonego mięsa i gdy tylko ściągnąłem kurtkę, aby ugasić ogień na ciele kobiety, zauważyłem, że w zaciśniętej dłoni trzyma modyfikator. Wrywanie go trochę mi zajęło. Dopiero potem przykryłem konkurentkę, zduszając płomienie i wyniosłem ją z budynku, aby pozostawić na pastwę nadjeżdżającej policji.

Parę dni później, gdy zdążyłem już o całym zajściu zapomnieć, Sandra wysłała do mnie zaszyfowaną wiadomość na komunikatorze kurierów: **DZIĘKI ZA URATOWANIE ŻYCIA. JEŚLI KIEDYKOLWIEK SIĘ SPOTKAMY, ZABIJĘ CIĘ.** Trochę o nią wypytywałem i dowiedziałem się, że nie rzuca słów na wiatr. Teraz postanowiłem to sprawdzić na własnej skórze. Implanty akurat skończyły jeść sąsiadkę, pozostawiając po posiłku śnieżnobiały szkielet.

Uderzyłem się w pierś, uruchamiając implant z hologramowymi maskami. Przed oczyma miałem szereg zapisanych wcześniej twarzy – przypadkowych przechodniów, menadżerów korporacji, których okradałem i moich własnych z różnych etapów życia. Wybrałem swoją sprzed pięciu lat.

Obraz młodszego mnie nałożył się na moją obecnie popękana twarz. W lustrze w łazience poprawiłem hologram, aby dobrze leżał. I chociaż wyglądał perfekcyjnie, raz po raz

wyzierały się spod niego bulgoczące gule. Narzuciłem więc na siebie czarny płaszcz i schowałem głowę w jego kapturze. Byłem gotowy do wyjścia na zewnątrz.

Wyszedłem z budynku wprost do strefy gastronomicznej, w której spory tłum ludzi zajadał się daniami ze szczurów. To nie tak, że na świecie brakowało drobiu, wieprzowiny czy ryb. Po prostu tutejszych mieszkańców nie było na nie stać, więc zadowalali się rosółem ze szczura, burgerem ze szczura, czy nawet nędzną imitacją sushi - ryżem zawiniętym w płaty surowego mięsa szczura.

Przedzierałem się przez tłum klientów budek i wózków, aby wyjść na ulicę. Gdy tylko dotarłem do celu, uderzyłem pięścią implant na lewym ramieniu, przywołując limuzynę. Z usługi, która normalnie kosztuje kilkaset kredytów, od dawna korzystałem zupełnie za darmo. Parę lat temu uratowałem Limo Inc. przed bankructwem. Tak naprawdę ratowałem samego siebie, bo samochód, którym jechałem na spotkanie z potencjalnym zleceniodawcą, kierował się prosto w przepaść. Udało mi się przejąć nad nim kontrolę i szybko znalazłem gagatka, który wprowadził wirusa do systemu nawigacyjnego. Poobijałem go trochę i zaprowadziłem do siedziby korporacji, a jej szef z wdzięczności ofiarował mi gratisowe przejazdy do końca życia.

Na limuzynę musiałem poczekać kilka ładnych minut. Gdy wsiadłem do środka, jak zwykle przywitał mnie elektroniczny głos. Kazałem mu zawieźć mnie do Copyrightu – knajpy kurierów na obrzeżach pobliskiego X City. Jadąc przez Mordor, przez szybę przyglądałem się spowijającej widnokrąg czerwonej poświacie. Ktoś mógłby uznać ten widok za piękny, bo przypominał zachód słońca. W tym mieście już od dawna nikt jednak słońca nie widział. Skrywało się gdzieś za gęstym smogiem, który pogrążał miasto w wiecznej nocy. Za rozjaśniający ją kolorek odpowiadały toksyczne opary z należących do korporacji fabryk. Dopiero gdzieś na obrzeżach zaczęły do mnie docierać promienie naturalnego światła.

W X City popołudniowe słońce świeciło jeszcze pełnym blaskiem, ale już powoli szykowało się do zniknięcia za horyzontem. Menadżerowie i kierownicy niższego szczebla cieszyli się nim, spacerując po malutkich parkach i wydając lekko zarobione kredyty. W strefach gastronomicznych rozkoszowali się smakiem drobiu, a w galeriach handlowych, na które można było natknąć się na każdym kroku, kupowali nowe ciuchy. W przeciwieństwie do Mordoru to miasto tętniło życiem i radością.

Po paru minutach zwiedzania X City dotarłem do Copyrightu. Podziękowałem za podróż, wysiadłem z limuzyny i skierowałem się do knajpy. Gdy do niej wszedłem, poraził mnie blask niebieskich i czerwonych neonów. To one rozświetlały panujący tu półmrok,

pozwalając dojrzeć szereg zamyślonych twarzy. Wszyscy klienci siedzieli w skupieniu, co nie przystawało do rozbrzmiewającej z głośników skocznej muzyki.

Na scenie po drugiej stronie lokalu tańczyły i śpiewały hologramy rudego piosenkarza i blond laleczki. Na początku XXI wieku obydwójce byli gwiazdami i wypełniali największe stadiony świata. Kilka lat przed śmiercią sprzedali jednak prawa do swojego wizerunku firmom fonograficznym, które od tamtej pory mogą nim dysponować wedle własnego uznania. Po ponad stu latach wciąż sprzedają go każdej knajpie, gotowej zapłacić za nie kilkaset kredytów. Dlatego niegdysiejsze bożyszczą występują dzisiaj w spelunach, przygrywając podejrzanym typom do drinka.

Zgodnie z oczekiwaniami zauważyłem Sandrę tuż za podrygującymi hologramami. Siedziała w swojej łoży na piętrze i gadała z jakimś facetem w garniturze. W długiej czerwonej sukni prezentowała się jeszcze lepiej niż podczas naszego pierwszego spotkania. Pewnym krokiem ruszyłem w jej stronę, a jeden z ochroniarzy zatrzymał mnie jeszcze przed wejściem na schody. Miał jednak pecha, bo złapał mnie za ramię z implantem, który raził prądem. Dwieście pięćdziesiąt volt w natężeniu siedemdziesięciu pięciu mili amperów przepłynęło przez jego ciało. Padł na podłogę, drgając, jakby dostał ataku epilepsji.

Gdy wszedłem na górę, mogłem bliżej przyjrzeć się Sandrze. Wyglądała perfekcyjnie. Ani na twarzy, ani na odkrytych częściach ciała nie dojrzałem żadnych blizn – jakby wypadek sprzed lat nie miał w ogóle miejsca.

– To ty – powiedziała, gdy rzuciłem o ziemię kolejnym ochroniarzem, który próbował mnie zatrzymać. Grymas obrzydzenia zastąpił ironiczny uśmiech na jej twarzy, a oczy zapłonęły nienawiścią.

Każdy kto znajdował się na piętrze, został postawiony w stan najwyższej gotowości. Szybko obliczyłem swoje szanse i wyszło na to, że nie mam żadnych. Zaraz miało się na mnie rzucić jakieś trzydzieści osób, które w jednym momencie zastygły na widok podniesionej ręki Sandry. I wtedy usłyszałem mrożące krew w żyłach słowa.

– Chcę go żywego – powiedziała Sandra, opuszczając rękę.

Nie ponoszę żadnej odpowiedzialności za to, co wydarzyło się dalej. Nie jestem winny śmierci osób, które mnie zaatakowały. Ja tylko stałem i czekałem na swój koniec. Implanty postanowiły jednak utrzymać mnie przy życiu, rozpętując prawdziwy chaos. W szaleńczym amoku rzuciły się na agresorów.

Widziałem, jak implanty wchodzą atakującym do gardeł i w ciągu kilku sekund zjadają ich od środka. Widziałem, jak obgryzają kolejne ciała i odpełzają, gdy ofiara padała na

ziemię. Widziałem, jak tymi swoimi szpilkowatymi zębami przeżuwają organy wewnętrzne i ruszają na dalsze łowy. Widziałem wyskakujące gałki oczne, odgryzane genitalia i wybuchające głowy. To była masakra. Mięso latało w powietrzu, płyny ustrojowe lały się na wszystkie strony. Jeden implant rzucił się na szyję facetowi, który z całych sił próbował go oderwać. Udało mu się, ale wąż z mojej ręki zabrał ze sobą kawałek jego aorty, więc zanim mężczyzna wyzionął ducha, zdążył oblać wszystkich krwią.

Pokryta czarno-czerwoną mazią Sandra przyglądała się temu wszystkiemu ze stoickim spokojem. Siedzący obok facet próbował walczyć z implantami trzymaną w rękach walizką, ale tylko je rozwścieczył, przez co długo nie pociągnął. Jeden przebił się przez jego piersz prosto do serca. Wyszedł z nim na zewnątrz, a kobieta ewidentnie straciła wtedy cierpliwość.

Po ostentacyjnie głośnym westchnięciu Sandra przetarła krew na swojej twarzy. Kiedy ruszyła w moją stronę, implanty ją zaatakowały, ale nie mogły nic zrobić. Nie dało się w nią wbić. Gdy próbowały, za chwilę odpadały z kawałkiem skóry w zębach, obnażając metalowe ciało. Wtedy zrozumiałem, czemu wyglądała tak nieskazitelnie. Była androidem.

Chwyliła mnie za szyję i podniosła do góry, niczym lampkę wina w geście teatralnego toastu. Krztusiłem się i poczułem, jak jakaś mała igielka wbija się w moje ciało. Padłem bezwładnie na podłogę. Ostatnie, co zobaczyłem, to pełną mi na ratunek implanty, które w momencie mojego zemdlenia się zatrzymały.

\*\*\*

Przytomność odzyskałem w białym, chłodnym laboratorium przywiązany do metalowych słupów układających się w literę X. Otaczało mnie kilkadziesiąt podestów ze szklanymi pojemnikami, w których znajdowały się moje implanty. Przyssane były do ssawek, połączonych przewodami z moim mózgiem. Jakikolwiek ruch sprawiał mi ból, dlatego szybko porzuciłem chęć szarpania się z więzami na rękach i nogach.

Do laboratorium pewnym krokiem weszła Sandra w białym kitlu. Bez słowa zbliżyła się do znajdującego się przy drzwiach komputera. Coś postukała w klawiaturę i uśmiechnęła się subtelnie.

– Wszystko idzie, jak trzeba. Możesz być dumny – powiedziała, gdy w końcu odwróciła wzrok od monitora i na mnie spojrzała. Byłem zdezorientowany, co szybko zauważyła. – Ty nie rozumiesz, prawda? – popatrzyłem na nią z nienawiścią. – O matko, ty naprawdę nie wiedziałeś, z czym masz do czynienia – zaśmiała się i przyklasnęła w dłonie. –



Te implanty nie są twoimi wrogami. Nie są też twoimi przyjaciółmi. One są tobą. Zainstalowałeś w sobie tyle implantów, że twoje ciało zaczęło je odrzucać. Nie zwracałeś na to uwagi, tylko instalowałeś kolejne, kolejne i kolejne. W pewnym momencie twoje ciało zaczęło się adaptować, połączyło się z implantami. Rozumiesz teraz? – podeszła do mnie i złapała za brodę, jakbym był niegrzecznym dzieckiem. – Spójrz tylko na siebie – powiedziała, chwytając mnie za włosy i kierując moją głowę w dół.

Moje ciało sięgało do klatki piersiowej. Cała reszta to był szkielet z nadgryzionymi organami wewnętrznymi. Tylko serce, choć popękane, biło tak, jak bić powinno. Cała reszta wyglądała, jak niedokończony posiłek i nie spełniała swoich zadań.

– Jesteście jednością. Potrzebujesz ich, tak jak one ciebie – kontynuowała swoją przemowę. – Twoje organy zupełnie nie działają, bo implanty funkcjonowały na początku, jak choroba immunologiczna. Nie mogły się od ciebie oderwać, więc żywiły się twoimi organami. Potem, gdy już mogły się swobodnie poruszać, stały się tych organów substytutem. Dlatego zjadały innych, aby móc podtrzymywać twoje funkcje życiowe. Bez ciebie natychmiast by umarli, bo nie istniejecie w oderwaniu od siebie. Cały czas muszą być w pobliżu, smakować hormonów z twojego mózgu – to tłumaczyło te wszystkie przewody dobiegające do mojej głowy. – Masz niesamowite szczęście.

Wyszła na środek laboratorium i niczym ekshibicjonista w parku rozpostarła kitel, a potem otworzyła swoją klatkę piersiową. Wypełniała ją elektronika połączona ze sobą przewodami z niebieską cieczą.

– Ja całe swoje ciało straciłam podczas naszego pierwszego spotkania. Przez ciebie. Zanim mnie ugasileś, ogień zdążył mnie poparzyć. Miejscami byłam całkowicie zwęglona, a jakby tego było mało z biurka, które na mnie spadło, wyleciały ampułki z trującymi substancjami wykorzystywanymi do produkcji modyfikatora. Część z nich trafiła wprost do mojego krwioobiegu, a reszty się po prostu nawdychałam. Nie było czego ratować. Prócz mózgu, którym pan Yakamura przy pomocy technologii NetSky zdecydował się obdarować tę nędną imitację ciała. Wiesz, co to znaczy żyć, ale nie być żywym? Być ciągle uzależnionym od technologii, skazanym na jej łaskę? Mieć świadomość, że nic, co robisz nie jest procesem naturalnym, tylko zerojedynkowym? Ciągle rozumować, nigdy nie czuć? Od lat tęsknię za emocjonalnym dołem, za bólem. – Ponownie chwyciła mnie za brodę. – Ty mi to zabrałaś. A teraz mogę to odzyskać.

Staruszek wszedł o lasce do laboratorium w towarzystwie trzech ochroniarzy. Goryle rozejrzały się dookoła, a Sandra zamknęła swoją klatkę piersiową i zapięła kitel.

– Panie Yakamura – powiedziała.

Staruszek nie odpowiedział. Powolnym krokiem ruszył w moją stronę. Każdy ruch kosztował go sporo wysiłku. Wątlność jego ciała wzbudzała politowanie.

– To jest nasz klucz do sukcesu? – zapytał.

– Tak – odpowiedziała Sandra.

– Piękne, piękne – powiedział staruszek, oglądając po kolei wszystkie implanty. – Kiedy będą gotowe?

– Parę tygodni.

– Świetnie.

Staruszek wraz z ochroniarzami wyszedł z laboratorium, a ja spojrzałem pytająco na Sandrę. Odpowiedziała mi gromkim śmiechem.

– Człowieku, wbrew sobie odkryłeś formułę nieśmiertelności. Trzeba ją tylko dopracować. My się już tym zajmiemy. Ty masz tylko utrzymywać implanty przy życiu, dopóki nie skończymy – po tych słowach Sandra odwróciła się na pięcie i wyszła z laboratorium.

W kolejnych tygodniach podobne wizyty towarzyskie Sandry już się nie powtórzyły. Gdy przychodziła, zawsze towarzyszyła jej grupa naukowców, którzy oglądali mnie, badali i kusili się na coraz śmielsze eksperymenty. Szturchali kijami, kłuli szpilkami i przepuszczali prąd przez resztki mojego ciała. Potem przechodzili do obserwacji implantów. Coś tam notowali, karmili je ludzkimi organami, notowali coś jeszcze, aż w końcu wychodzili. I tak codziennie.

Pewnego dnia Sandra przyszła w towarzystwie tylko jednego człowieka. W dodatku takiego, którego dobrze znałem. Johnny podszedł do mnie z szerokim uśmiechem na twarzy. Skrzywiłem się, gdy poczułem dobiegającą z jego ust woń alkoholu.

– Siema – powiedział mój dawny kumpel.

– Zdziwiony? – zapytała Sandra. – Johnny już od dawna nam pomaga.

– No, no, starczy tych pogaduszek. Trzeba wziąć się do roboty. – Tymi słowami monter zakończył rozmowę i zaczął uważnie przyglądać się kolejnym implantom.

W pewnym momencie, jakby doznał olśnienia, Johnny wybiegł w pośpiechu z laboratorium, aby wrócić po krótkiej chwili z dwiema próbkami. Jedna wypełniona była niebieską, a druga czerwoną cieczą. Po kolei, kropelka po kropelce nasączał nimi wszystkie implanty. Kiedy skończył podszedł do mnie.

– Ty też tego potrzebujesz – splunąłem mu w twarz.

Johnny otarł się ze śliny i uważnie przyjrzał mojej skroni w miejscu, w którym kiedyś mieścił się implant odczytu. Wsadził jedną próbkę w małą, znajdującą się tam dziurkę i wpuścił kilka kropel czerwonej cieczy prosto do mojego mózgu. To samo zrobił z drugą próbką. Piekielnie.

– Teraz będzie dobrze – skwitował i razem z Sandrą opuścili laboratorium.

Po kilku godzinach implanty zaczęły się rozmnażać, wyrzucając swoje mniejsze wersje. Sandra przybiegła od razu i obserwowała proces z wielkim uśmiechem na ustach.

– Potrzebujemy jeszcze tylko jednej rzeczy i wszystko będzie gotowe – powiedziała, po czym podeszła do wiszącej koło drzwi słuchawki, do której powiedziała coś szeptem i wyszła.

Wróciła po dłuższej chwili z armią naukowców i metalowym pojemnikiem w rękach. Otworzyła go i wyjęła ze środka modyfikator kwantowy. Jak to możliwe? Przecież ja go wygrałem. Powinien być w rękach iDromu. Sandra zauważyła, że patrzę ze zdziwieniem na to, co robi, więc postanowiła rozjaśnić sytuację.

– iDrom sam się do nas zgłosił. W sensie prezes. Chciał dojechać Johnny'ego za to, że sprzedaje podróbki jego sprzętu, a ten powiedział mu o tobie. Że raz, jak implanty wyskoczyły ci z klatki piersiowej, to zobaczył nadgryzione organy i nie miałeś prawa żyć. Russell przyszedł do pana Yakamury i zaczęli zastanawiać się, jak można na tym zarobić. Wtedy weszłam ja i wymyśliłam, że dzięki modyfikatorowi kwantowemu można trzymać je w ryzach, uczynić z nich narządy wewnętrzne, zewnętrzne. Rozumiesz? Modyfikator niczego nie wytwarza, może jedynie modyfikować, zmieniać wszystko tak, żeby pasowało do większej całości, jednocześnie zachowując wszystkie tego funkcje. Dzięki niemu i twoim implantom będziemy mogli stare ciało zmienić w młode, robota w człowieka, cokolwiek zechcesz. To przyszłość. Żadnych przeszczepów, dzięki tym implantom będziemy mogli hodować organy, jak hodujemy jabłka, pomarańcze, truskawki.

Przemówienie przerwała trójka ochroniarzy, którzy wtoczyli do laboratorium komorę wielkości kabiny prysznicowej. Gdy ją podłączali, Sandra rozebrała się, eksponując swoje metalowe ciało. Wyciągnęła z pojemnika jeden z mniejszych implantów i uważnie mu się przyjrzała. Delikatnie, jakby miała do czynienia z niemowlęciem, ułożyła go na rękach i pogłaskała.

Do laboratorium wszedł Yakamura w towarzystwie Russella, który uśmiechnął się na mój widok, wypinając jednocześnie pierś i okazały brzuch, skrywane pod idealnie dopasowanym garniturem. Za nimi do pomieszczenia wtoczył się Johnny.

– Zdążyłem? – zapytał zasapany.

– Możemy zaczynać – powiedział Yakamura.

Sandra z implantem na rękach weszła do komory, na której naukowcy coś naciskali. Facet w białym kitlu stojący przy komputerze machnął dłonią, dając sygnał, że procedurę można już zaczynać. W jednym momencie zatrzęsło się całe pomieszczenie. Komora zaszała parą, niczego nie mogliśmy w niej dojrzeć. Po paru minutach elektronicznych bipów, blipów i pików, otworzyły się drzwi.

Sandra wypadła z komory prosto na ziemię. Odwróciła się na plecy, po czym otoczyli ją zebrani w laboratorium ludzie, zasłaniając mi widok. Usłyszałem tylko:

– Udało się.

Naukowcy bili brawo, Russell uściskał dłoń Yakamurze, a Johnny wziął łyka z piersiówki. Sandra wstała i podeszła do mnie, pokazując efekt eksperymentu. W jej metalowym wnętrzu pulsował żołądek. Nie przystawał do tych wszystkich przewodów i całej elektroniki. Był prawdziwym ciałem. Miała rację. Odkryli sposób na nieśmiertelność.

– To będzie najbardziej przełomowy wynalazek w dziejach ludzkości od czasu koła – stwierdził Russell. – Zarobimy miliardy, tryliardy, zarobimy wszystkie kredyty świata – powiedział do Yakamury.

– Czy teraz możecie mnie już zabić? – zapytałem ku zdziwieniu wszystkich zebranych w laboratorium osób. To były pierwsze słowa, jakie wypowiedziałem, odkąd się tu znalazłem.

Russell podszedł do mnie i poklepał po twarzy, jakby chciał nagrodzić za szóstkę w szkole.

– Jeszcze nie teraz. Jeszcze potrzebujemy tych małych skurwysynów. Ale już niedługo. Spokojnie. Gdy odkryjemy wszystkie ich tajemnice, nauczymy się je wytwarzać, obiecuję, że osobiście odłączę cię od tej aparatury i odciągnę tak daleko od implantów, żebyś mógł odejść w spokoju. Bo wiesz, dzisiaj odnieśliśmy małe zwycięstwo, ale potrzebujemy dużego. Żeby móc w pełni wygrać ze śmiercią. Śmiałeś się, gdy ci to powtarzałem, ale teraz widzisz samemu. Korporacja wygrywa ze wszystkim. Korporacja zawsze wygrywa. Korporacja jest wieczna i niepokonana.

\*\*\*

Wszystko opracowali w ciągu kilku miesięcy i szykowali się już do finałowego eksperymentu. Tego dnia, którego mieli go przeprowadzić, Sandra poruszała się po

laboratorium tanecznym krokiem. Jakiś czas temu wyzbyła się całej elektroniki i metalowych części. Wydawało się, że implanty zastępujące organy działają bez zarzutu. Odzyskała swe dawne ciało i zachwycała się jego możliwościami.

Szampański nastrój popsuł swoją wizytą w laboratorium Yakamura, który od paru tygodni mógł cieszyć się werwą dwudziestolatka. Odrzucił nieodłączną wcześniej laskę, bo zamienił organy staruszka na zupełnie nowe, a wszystkie zmarszczki zastąpiła naciągnięta jak sprężyna skóra. Teraz wyglądał inaczej. Był przerażony gulami pulsującymi na jego czole.

– Niech mi ktoś pomoże – krzyczał, trzymając się za głowę.

Zdezorientowana Sandra rzuciła się, aby go ratować. Yakamura rozpadał się jednak na naszych oczach. Jego ciało pokrywały falujące fałdy mięsa, które raz po raz pękały, wypuszczając z siebie ropę. W laboratorium roztoczył się smród zgnilizny.

Sandra wezwała Johnny'ego. Zanim monter zdążył przybiec, z nią też już nie było najlepiej. Rozpływała się niczym masło na patelni. Obwisł każdy mięsień na jej ciele, wyglądała jak efekt nieudanego eksperymentu.

– Co się ze mną dzieje? – zapytała Johnny'ego, gdy w końcu wszedł do laboratorium.

– Nie wiem – odpowiedział.

W tym momencie Yakamura wydał z siebie ostatnie tchnienie. Jego ciało wybuchło. Wszyscy zostaliśmy obrzuceni flakami. Do oka przyczepił mi się kawałek jelita. Czy to...? Wyglądał na nadgryziony od środka. Zaśmiałem się.

– Ty coś wiesz... Co się dzieje? O co chodzi? – krzyczał Johnny, jednocześnie mnie szarpiąc.

Do laboratorium wbiegł zrozpaczony Russell. Podbiegł do miejsca, w którym wybuchł Yakamura i zaczął wyc.

– Nie podpisałeś jeszcze papierów do fuzji... – żalił się.

Sandra powoli sunęła w moją stronę, ale zanim do mnie dotarła, rozplynęła się całkowicie. Została z niej jedynie mokra plama i pojedyncze kawałki mięsa. One na nadgryzione nie wyglądały, ale wystawały z nich kawałki przewodów elektrycznych. Wychodziło na to, że wbrew zapewnieniom Russella tym razem korporacja nie wygrała.

W trakcie szarpaniny Johnny'emu udało się uwolnić mnie spod igły w moim mózgu. Rozwścieczyło to znajdujące się w pojemnikach implanty. Jak szalone rzucały się w każdą możliwą stronę, aż w końcu wyrwały się ze swoich więzień.

Implanty zajęły swoje miejsca na moim ciele. Dzięki nim wydostałem się z więzów. Już miałem opuścić laboratorium, kiedy do środka wpadł cały oddział prywatnej armii

Yakamury. Uzbrojeni po zęby faceci w czarnych strojach otworzyli ogień. Implanty nie miały w tym starciu żadnych szans, bo agresorzy okazali się robotami. Po krótkiej chwili padłem na ziemię z triumfalnym uśmiechem na ustach.



# ROBOT

Michał Lipka

To chyba była kometa. Nie miał co do tego pewności, lata już nie te, wiedza nie ta sama – zapomniał więcej, niż niektórzy kiedykolwiek pamiętali, jak to mówią – i wszystko się zmieniło, jednak to, na co patrzył, było okrągłe, płonęło i ciągnęło za sobą ognisty ogon, poruszając się po nocnym niebie jak osobliwy świetlik. Jakieś trzydzieści sześć milionów kilometrów od Ziemi światło drgało, poruszało się i mknęło przed siebie przez czarną przestrzeń, więc wszystko wskazywało na kometa.

Wyregulował optykę, aby upewnić się, że wszystko właściwie rejestruje, ale nie miał danych porównawczych. Mógł tylko zmierzyć odległość, określić rozmiary ciała niebieskiego (trzy miliony, siedemset tysięcy kilometrów średnicy), ale reszta przepadła.

Stał więc po prostu i „patrzył”, jak płonący kosmiczny obiekt mknie po nocnym niebie, z tej perspektywy tylko niewiele bardziej ruchomy od pozostałych gwiazd. Temperatura wokół spadała, wilgotność rosła, w czarnej płataninie dzikich roślin coś szeleściło, a on tkwił w bezruchu i rejestrował to, co działo się przed jego soczewkami, na powierzchni których zaczynała osadzać się wilgoć.

Nagle coś przysłoniło mu widok. Coś gigantycznego przesunęło się na tle komety, sunąc leniwie przez kosmos. Coś czarnego, jak sama kosmiczna pustka, ale wyraźnie ruchomego, niemal wijącego się.

Gdyby był człowiekiem, zadrżałby na tek widok. Jednak drzeć zresztą też nie umiał. Był zwykłym robotem technicznym, soft nie działał mu jak należy od dobrych setek lat, więc w jego pamięci nie zachowały się niemal żadne informacje na temat funkcji, jaką spełniał w czasach, kiedy ludzkość jeszcze istniała. A jako robot nie miał uczuć, nie miał odruchów, tylko zakodowane podstawy działania, już nie zawsze zresztą sprawne.

Przez moment spoglądał w niebo, tam, gdzie czarna, kotłująca się pustka zastąpiła kometa, powoli jednak znów ustępując jej miejsca, a potem potoczył się w ciemność, między sferę, gdzie egzystencja wydawała w gęstwinie dziwne odgłosy a porośniętymi mchem resztkami ściany czegoś, co kiedyś było wysokim budynkiem. Niespiesznie toczył się dalej.

Pora świtu dawno już minęła, kiedy dotarł nad płynącą przez las rzekę. Zjechał wąską ścieżką, którą wydeptały schodzące tędy nad wodę zwierzęta, przetoczył się po grząskim gruncie i sunął dalej, przeciskając się przez zieleń. Nie znał tych miejsc, nigdy tu nie był. Sunął przez świat od setek lat, powoli, coraz dalej, za każdym razem w inne miejsce, bez celu. Po prostu mógł, więc się poruszał.

Krzewy zgęstniały, więc ustawił optykę, przeanalizował obraz i wybrał dogodniejszą trasę. Kiedyś, jeszcze pięćdziesiąt trzy lata temu, przebiłby się przez gęstwinę, wyciął kilka zbędnych krzewów czy drzew i parłby przed siebie niewzruszony, ale teraz tarcze tnące ledwie już pracowały. Teraz lasery mogły jedynie coś podpalić, o ile były jeszcze do tego zdolne, a jego powłoka zewnętrzna nie nadawała się już za bardzo do siłowego przeciskania się przez cokolwiek. Gdyby wpadł do wody, wydostałby się bez problemu, gdyby ugrzązł w mokrym gruncie, wystarczył wysięgnik. Był jeszcze w stanie przepłynąć morzem na inny ląd,



choć w kwestii oceanu jego szacunki nie przedstawiały się tak optymistycznie, ale wyraźnie czas jego funkcjonowania zbliżał się do nieubłaganego końca.

Nie czuł nic w związku z tym – w ogóle nic nie czuł – po prostu stwierdzał fakt.

Rzeka, strumień właściwie, z cichym pluskiem i szmerem płynęła w swoim korycie. Gdzie z drugiej strony nurtu zwierzę, które wyglądem przypominało jelenia, choć jeleniem od dawna już nie było, spokojnie piło wodę. Gdzieś powyżej ćwierkały ptaki, coś uderzało rytmicznie w pień drzewa, coś innego drapało o inny pień z cichym pomrukiem.

Robot sunął przed siebie – pozornie ociężały kształt, który poruszał się z lekkością, ale i pewnością, zostawiając za sobą wgniecioną trawę i równomierne kształty, jakich nie zostawiało nic innego. Czasem odbierał zmiany, jakie zaszły w otoczeniu, w świecie, na tyle, na ile pozwalały mu resztki softu, częściej nie. Jechał więc przed siebie, cicho, ale od dekad już nie bezszelestnie, i rejestrował wszystko, co mijał.

Mijał głównie rośliny i zwierzęta, które rozpanoszyły się wszędzie tam, gdzie wcześniej były asfaltowe drogi i gigantyczne budynki. Asfalt popękał, korzenie wdarły się pod beton, ze szczelin wystrzeliły zielone pędy, wspięły się wyżej, obrosły słupy, które w końcu runęły, obrosły wieżowce, po których zostały jedynie rozpadające się dolne pietra. Stare rury wodociągowe pękły, tworząc nowe strumienie, zanim maszyny pompujące wodę przez podziemne arterie przestały funkcjonować.

Ze świata niemal zniknęły kąty proste i geometryczne bryły. Ostre krawędzie zaokrągliły się, wszystko pokryło się zielenią liści i całą feerią barw kwiatów i owoców. Zniknęli też ludzie, robotów pozostało niewiele.

Kiedy wydostał się z gęstwiny, zostawiając za sobą rzekę i zjeżdżając powoli w dół stromego wzniesienia, skierował optykę na błękitne niebo, nałożył filtr, wypatrzył komety – tym razem nic jej nie przysłaniało – i bez zatrzymywania się, toczył się dalej.

Zmierzchało, kiedy dotarł do wciąż stojących domów jednorodzinnych jakiegoś niewielkiego miasta. Żaden nie miał już dachu, okna były tylko wspomnieniem, pełnym kwadratowych, porośniętych pajęczynami dziur, ale ściany w licznych przypadkach wciąż miały się całkiem nieźle. Gdy mijał te relikty dawnych czasów, szare, pozbawione farb i elewacji, kruszące się, gdyby ich dotknąć, jego czujniki coś wychwyciły.

Miedzy ścianami pojawił się nietypowy ruch. Coś o kształtach i gabarytach, jakich jeszcze nie poznał, poruszyło się, zaszurało. Czerwone oczy płonące spektrum światła niewidocznym dla większości żywych stworzeń, oczy jak węgle przyglądały mu się, a poniżej

nich coś się rozwierało. Czujniki zarejestrowały napinające się mięśnie, wzrost temperatury i zwiększenie się objętości żył, którymi płynął gęsty odpowiednik krwi.

Oddech stworzenia stał się ciężki, choć niemal niesłyszalny – oddech ociekającego śliną, wygłodniałego drapieżnika.

Robot sunął dalej przed siebie, tym samym miarowym ruchem, z tym samym usypiającym niemal szumem mechanizmów.

W czarnej dziurze dawnego okna domu, który od wieków domem już nie był, czarna sylwetka, która był zbyt ludzka i nieludzka jednocześnie zmieniła pozycję, cień drgnął, poruszył się i nagle czujniki robota wyczuły coś z tyłu. Nawet nie zdążył przyspieszyć, kiedy przypominające mackę odnóże wystrzeliło spod ziemi w jego kierunku. Było czarne, doskonale maskowało się w mroku nocy, poruszało szybciej, niż mechanizmy robota, ale nie miało to znaczenia. System obronny działał wciąż bez zarzutu. Niewielki, ale potężny ładunek elektryczny i macka wycofała się równie szybko, jak zaatakowała. Cień zniknął z dziury w ścianie budynku i coś umknęło w noc z odgłosem bólu i wściekłości. Wrzeszczało, jakby krzyczała sama ciemność, ale tylko przez chwilę.

A robot toczył się dalej.

Ćwierć wieku później toczył się nadal, wciąż w tym samym rytmie.

Zostawione za sobą drogi i uruchomiony bez trudu wodny transporter doprowadziły go do Szkocji, gdzie zatrzymał się nad brzegiem Loch Ness. Skierował optykę na taflę jeziora, wyregulował, ale słynnego potwora z Loch Ness nie dostrzegł. Jeśli kiedykolwiek tu żył, dawno zjadło go to, co żyło w tych wodach teraz. A cokolwiek to było, cokolwiek robot w tej chwili rejestrował, bardziej przypominało gigantyczne pająki korzystające z jeziora niczym z kryjówek, niż coś, co rzeczywiście mogłoby egzystować w wodzie.

Objechał zbiornik wodny dookoła, przynajmniej na tyle, na ile mu pozwalał, ale nie dostrzegł niczego niezwykłego. Widział już egipskie piramidy, przetrwały w całkiem dobrym stanie, zjeździł ich wnętrza, choć niewiele było tam do zbadania. Zjeździł nawiedzoną ziemię, którą miał w pamięci, ale nie spotkał tam żadnego ducha – jeśli coś zarejestrował, mogły to być co najwyżej przebłyski jakichś działających sporadycznie na resztkach awaryjnego zasilania serwerów. Był w lasach, w których powinny żyć te futrzaste, człękoksztaltne stworzenia o wielkich stopach – właściwych nazw nie potrafił odnaleźć w plikach pamięci – ale nic, co człękoksztaltne nie przetrwało zagłady sprzed wieków, więc i niczego takiego nie spotkał.

To, co odkrywał na swojej drodze, o ile mógł ufać posiadanym strzępom danych, było zupełnie nowe. Przynajmniej dla tego świata.

Spotykał za to wiele miejsc, w których nie wszystko było takie, jak powinno. Punkty na mapach, w których trzeba było uważać na ciążenie wyglądające zupełnie inaczej, niż nakazywały znane prawa fizyki. Tam trzeba było uważać, bo nagła zmiana oddziaływających na obiekty sił mogła wyrzucić go wysoko w powietrze. Widział też dziury w niebie, czarne punkty, zza których przezierały konstelacje, jakie nie powinny istnieć, układy planet, których nie było i kształty, niemające żadnych znanych mu odpowiedników.

Ale to były wyjątki, odstępstwa od reguły. Normą była zieleń. I było życie, które rozwijało się, konało, zabijało i walczyło o przetrwanie.

Burza zastała go na otwartej przestrzeni. Nadeszła zniecka, najpierw uderzeniami gromów, których nie zwiastowało większe naelektryzowanie atmosfery ani jakiegokolwiek inne czynniki. Potem napłynęły gęste, ciężkie oleście czarne chmury. Nie obawiał się deszczu ani braku dostępu do słonecznego światła, z którego w znacznym stopniu czerpał energię – miał jej pod dostatkiem na wiele miesięcy, może nawet lat funkcjonowania i miał inne metody jej pozyskiwania – ale bezpośrednie trafienie błyskawicą mogłoby okazać się problematyczne.

Teren to wznosił się, to opadał, jazda poprzez coraz bardziej błotnistą ziemię stawała się z każdą chwilą trudniejsza, ale i powolniejsza. Wypatrzył jednak zagajnik na wzniesieniu, przechodzący potem w pola. Wysokie trwy z jednej, a gęsty las z drugiej strony i potoczył się w jego kierunku. Zacinający deszcz ograniczał widoczność w normalnym trybie, więc dostroił optykę i sunął dalej.

Pioruny były coraz mocniej. Kolejne wyładowania uderzały w ziemię coraz bliżej, aż czujniki odnotowywały narastające drgania gruntu. Świat poszarzał, potem ściemniał, a robot niewzruszenie kierował się w stronę celu.

Długo zajęło mu zarejestrowanie faktu, że coś stało się z niebem. Że na niebie, ponad burzą, którą najprawdopodobniej wywołało, tysiące kilometrów od ziemskiej atmosfery kłębiło się coś, czego nie był w stanie z niczym porównać. Kształt i jego widoczność płynnie przechodziły przez różne spektra światła i skupienia, stworzenie – bo tym ewidentnie było – nie miało nawet jednej barwy. Ale było tam. A optyka robota rozpoznała w nim kilka cech charakterystycznych, które pozwoliły mu utożsamić je z czymś, co już widział. Z czymś, co dekady temu przysłoniło kometę, sunąc przez przestrzeń w miarowym, leniwym tempie.

Piorun uderzył jeszcze bliżej, tak biały, że aż różowy, kolejny, tak biały, że aż niebieski, trafił gdzieś dalej, pozostawiając po sobie zapach ozonu i rozświetlone mgliście powietrze.

Las był już blisko, skrycie się w pobliżu wysokich drzew, które ściągną na siebie wyładowania było najlepszym rozwiązaniem. Nie za blisko, żeby skutki rażenia nie dosięgły jego powłoki, ale i nie za daleko. Wszystko miał już wyliczone, w ulewie widział nawet coś w rodzaju ścieżki, nad którą górowało porośnięte drzewami wzniesienie, ale błotnista ziemia coraz bardziej go spowalniała.

Tysiące kilometrów ponad tym punktem coś się kotłowało, choć może kotłowało się właśnie nad całą planetą. Z nieba lała się woda i biły pioruny, świat ciemniał, coś się zmieniało.

Dotarł do drzew. W końcu. Rozgrzane mechanizmy mogły liczyć na chwilę odpoczynku.

Gdzieś z trzaskiem pękło trafione piorunem drzewo. Na horyzoncie zaczęła formować się trąba powietrzna. Robot unikał zjawisk pogodowych, te zwyczajne łatwo zresztą było przewidzieć na podstawie posiadanych danych, teraz jednak nic nie było już takie pewne.

Temperatura w mechanizmach i obwodach obniżyła się, czujniki wskazywały, że pod powierzchnię pancerza przeniknęła niewielka ilość wilgoci, nic, co miałoby znaczenie. Baterie doładowały się energią elektrostatyczną.

I wtedy nadeszła fala. Ze wzniesienia, między drzewami, zaczęło coś płynąć. Coś ciężkiego i gęstego niczym powódź błotna albo lawina, ale miało czarny kolor. Smolista, maziowata ciecz lunęła z nieba w kilku miejscach i spływała teraz między drzewami. Skapywała z nich. Gdzieś w dolinie, jaką można było wypatrzeć z tego punktu, zaczęły tworzyć się czarne zbiorniki wodne, tu las, ociekający gęstymi strużkami, zatrzymywał część mazi, ale ta zbliżała się niebezpiecznie do ścieżki, na której znajdował się robot.

Mechanizmy znów ożyły i robot, pospiesznie, zaczął toczyć się przed siebie, próbując uniknąć zalania.

Ludzie, kiedy istnieli, przed całą tą zagładą, która w krótkim czasie wymazała ich obecność na planecie, zanim jeszcze zdołali podbić kosmos na tyle, by się tam osiedlić i zapewnić gatunkowi przetrwanie, mieli swoje legendy. Mieli opowieści o dziwnych stworzeniach, o niezwykłych miejscach, wspaniałych skarbach, cudownych lekach.

Roboty, te nieliczne, które przetrwały, kiedy zabrakło człowieka, który mógłby je naprawiać i sieci, która napędzałyby łączność, też miały swoje legendy. Opowieści o

ostojach dla takich, jak oni, o miejscach, gdzie czekały automatyczne naprawy i gdzie jeszcze można było, choć w ograniczonej formie, łączyć się z siecią. Gdzie można było wymieniać się danymi i upgrade'ować swoje powłoki.

Ale robot był, gdzie tylko mógł dotrzeć i tak, jak w miejscach, które kultem darzyli ludzie, nie znalazł niczego, co potwierdzałoby ich wierzenia, tak nie znalazł nic z tego, o czym mówiły inne cybernetyczne stworzenia.

A teraz był świadom, że nawet, jeśli gdzieś tam istniał raj dla takich, jak on, on już nigdzie nie dotrze.

Burza minęła, szare niebo i coś ponad nim zostały. I zostały jeziora czerni, gęstej, lepkiej, niczym kosmiczne nasienie, a on leżał w jednym z nich, niezdolny do ruchu. Niezdolny do niczego.

Może miał za swoje. Może tak właśnie było. Może to była jego kara za to, co zrobił. Za ten czyn sprzed długich setek lat, kiedy wypuścił tamto coś. W jego pamięci nie zachowały się informacje, skąd to miał ani co to było, być może pracował jako robot specjalizujący się w tej konkretnej dziedzinie, a może nie. Po prostu to miał. I po prostu wypuścił, bo mógł. Bo myślał. Kiedy był jeszcze połączony z siecią, jego system działał, jak ludzki mózg, a że ludzie ciągle tylko się spierali, ciągle kłócili, ciągle zachowywali bezsensownie i więcej niszczyli, niż tworzyli.

Nie chciał ratować planety, świata. Nie. Po prostu wtedy mógł decydować i zrobił to, co uznał wówczas za właściwie z jego punktu widzenia. Do tej pory w jego pamięci znajdowały się pliki przypominające o zdziwieniu, że coś takiego (czemu myślał o tym, jako o rytuale? O przyzwaniu czegoś, co przez wieki miało zmieniać tę planetę i przyciągać kolejne stworzenia? Nie wiedział) zadziało. Że się udało. (a może to był zwykły wirus? Może najpierw był sygnał, który popchnął go do działania? A może sygnał był potem i przywoływał?)

Pewnie miał więcej powodów, ale te się nie zachowały. Były gdzieś w chmurze, ale chmury nie było. Był tylko on. Ostatni świadek.

A teraz już prawie było po nim. Nie czuł w związku z tym nic. A może nie był świadom, że coś czuje. Po prostu tkwił w czerni, niezdolny do wydostania się z niej i tkwić tak miał do samego końca. Kiedykolwiek ten by nie nastąpił.

Niebo pociemniało, kotłujący kształt zbliżył się bardziej, ale optyka coraz mocniej szwankowała robotowi, coraz mniej widział przez tę czern rozlaną na soczewkach, więc tylko

patrzył przed siebie, na bliższe obiekty, na przelatujące po niebie ptaki, które schroniły się przed mazią i teraz mogły jeszcze wzbić się w powietrze i czekał.

Tylko to mu pozostało.



# WIDMO ZE SKRZYŻOWANIA LEGIONÓW

Olga Zegartowska

Lipiec

– Słyszałyście o widmie co straszy na Skrzyżowaniu Legionów?

Sabina, Hania i Gabi siedziały z nosami blisko szyby. Tamtego dnia wypadały urodziny Hani, więc przysługiwało jej prawo straszenia reszty.

– Opowiadasz bzdury – zaprotestowała Gabi. – Pewnie Kamil zaczepił cię po szkole i dałaś się wkręcić.

– Nie, mówię serio. Przysięgam na pamięć mojego psa. – Hania nigdy nie miała psa, ale reszta nie musiała o tym wiedzieć.

Na zewnątrz ciemność rozpraszała jedynie samotna latarnia rozświetlająca nieduży fragment mokrej jezdni. Cały dzień mżyło, a noc nie zapowiadała się pogodniej.

Sabina przekręciła się bokiem na sofie. Wcześniej dziewczyny przysunęły mebel, by móc sekundować bliżej szyby. Długie rzęsy otulały cieniem regularną twarz, której obie z Gabi jej zawsze zazdrościły.

– Powiedz coś więcej o tym widmie – szepnęła leniwie.

Z przezorności pogasiły większość świateł w dwupiętrowym domu rodziców Hani i półmrok czający się po kątach tylko wzmagał dreszcze pełzające w dół pleców. Hanka była w swoim żywiole.

– Wszyscy w Niepołomicach o niej słyszeli. – Usiadła po turecku. – W każdą deszczową noc na skrzyżowaniu pojawia się dziewczyna.

Gabi zachichotała nerwowo, ale Sabina nie była pod wrażeniem.

– I co? Tak po prostu tam stoi i moknie jak ostatni debil?

– Nosi bluzę z emblematem krakowskiego liceum. – Hanię ciężko było wytrącić z rytmu, zwłaszcza, kiedy wiedziała, że ma w zanadrzu dobrą historię. – Zakrwawioną bluzę.

– Ale ja się pytam co ona tam robi?

– Stoi ze spuszczoną głową. A jednocześnie wszystko obserwuje.

Gabi złapała ledwo napoczęta paczkę chipsów, po czym wrzuciła hojną garść do ust. Sabina hrabiowskim gestem sączyła colę ze szklanki. Każda czekała na dalszy ciąg.

– Niektórzy twierdzą, że to ofiara kraksy, która miała tam miejsce dwadzieścia lat temu. Zderzenie dwóch osobowych aut, obie rodziny zginęły na miejscu. Policja przez kilka dni zbierała szczątki z rowu przy drodze.

– Brrrr! – Gabi wzdrygnęła się, sięgając znowu po chipsy.

Było coś kojącego w fackie, że siedziały w ciepłym domu, pachnącym resztkami kolacji oraz ciastem, które matka Hanki upiekła na okoliczności urodzin i wspólnego



nocowania, podczas gdy na zewnątrz deszcz nabierał coraz większej śmiałości. Między wielkimi kroplami wsiąkającymi w błyszczący asfalt, nawet najślabsze historie o duchach zmuszały człowieka, by oglądał się za siebie.

– W ofiarach wypadków nie ma nic strasznego. – Sabina popukała się w czoło.

– Tylko, że u nas, w Niepołomicach, mało kto wierzy w tą wersję. – Hania przybrała grobowy ton.

– Jesteś z Krakowa, dlatego nigdy o tym nie słyszałaś – zawtórowała Gabi. – Dziewczynę ze Skrzyżowania Legionów spotkało coś strasznego. Coś jak gwałt, a potem seryjny morderca zakopał ją przy drodze.

Hanka przewróciła oczami. Gabi nie umiała opowiadać. Psuła jej moment, a jako solenizantka i gospodarz musiała coś z tym zrobić. Chciała zaimponować Sabinie na tyle, by zabrała ją w następny weekend do willi swoich rodziców w Krynicy, gdzie zwykle spędzali lato. Mieli basen, jacuzzi, mini bar, a co najważniejsze dawali Sabinie, jak na szesnastolatkę, imponującą swobodę. Po krakowskim liceum, do którego Hanka dostała się z listy rezerwowych, chodziła plotka, że Sabina od dwóch lat nie była już dziewicą. Nic dziwnego, bo zawsze zgarniała najprzystojniejszych facetów, którzy ślinili się do niej bez krzty obciachu.

– Chcecie piwo? – Rodzaj pytania, które zawsze pozwalało człowiekowi wyjść cało z opresji. Rodzice nie kryli przed Hanią, gdzie trzymali alkohol, podobnie jak nie kryli faktu, że nie życzą sobie, by próbowała trunków nim stuknie osiemnastka.

– Tylko, jeśli masz schłodzone. – Sabina wyduła lekko usta.

Gabi rozłożyła się na sofie i złapała pilot do telewizora, udając że nie słyszy pytania. Na kanale puszczali erotyk. Kobieta i mężczyzna pieprzyli się pod ścianą, sapiąc oraz dysząc. Gabi zarechotała.

– Zejdę z tobą do kuchni. – Sabina pospieszyła za Hanką.

Wspólnie zbiegły po schodach, jednocześnie zapalając światła w korytarzu. Dwie żarówki się spaliły i Hania notowała w myślach, by zdać raport ojcu.

– To gdzie twoi starzy w końcu wybyli? – Sabina oparła się o blat kuchenny. Światło z okapnika dodawało smukłości jej długim nogom odzianym w legginsy.

– Pojechali do ciotki na wesele. Jej córka wróciła z Anglii tylko po to by się hajtnąć.

Sabina obserwowała jak Hania wyjmując dwie puszkę piwa z chłodziarki, po czym niezręcznie walczy z kapslem. Dziewczyna oblała się pąsem.

– Daj, kobieto. – Sabina uśmiechnęła się, tym razem bez cienia wyższości. – Bo złamiesz paznokieć.

Puszki zasyczały i po chwili obie sączyły gorzki napój. Tętno Hani przyspieszyło. Gdyby teraz w drzwiach stanęli rodzice, musiałyby się gęsto tłumaczyć. Z drugiego piętra dochodziły ryki Gabi. Wciąż oglądała wyczyny spółkującej pary.

– Coś z nią nie tak – przyznała Sabina z palcem uniesionym ku górze.

– Ciężki wypadek.

– To po co się z nią zadajesz?

– Jest zabawna. – Hance piwo poszło do nosa i niemal wypłuła całość na podłogę.

– Chcesz wracać na górę?

– Nie bardzo.

– To opowiedz mi jeszcze raz o tym widmie.

Okno kuchni wbudowano w szeroką zatokę i wychodziło niepokojąco blisko Skrzyżowania Legionów. Nawet teraz, kiedy stały przy zlewku, z zapalonym światłem, kątem oka Hanka dostrzegała wyłączone światła ruchu. Sygnalizacja na Skrzyżowaniu Legionów zawsze szwankowała. To był jeden z powodów, dlaczego miało tu miejsce tak wiele wypadków. Czarny punkt na mapie Niepołomic. W bezpośrednim sąsiedztwie ich domu.

– Wszystko w porządku? – Sabina przejechała jej ręką przed oczami.

– Jasne. – Drgnęła.

– No, to co z tym duchem?

– Pojawia się tylko w nocy, podczas ulewnego deszczu.

Sabina z satysfakcją wskazała mokrą szybę. Miała rację, kilka minut wcześniej zaczęło lać jak z cebra.

– Po prostu stoi na skrzyżowaniu i chyba każdy w okolicy ją widział.

– Wiele osób stoi i czeka na skrzyżowaniu. Może się z kimś umówiła?

Hanka pokręciła głową. Oczywiście, za nic nie przyznałyby, że nie widziały nigdy widma, ale słyszała wystarczająco dużo opowieści naocznych świadków, by udawać jednego z nich.

– Kiedy ją zobaczysz, wiesz że to ona.

– Jakim cudem?

– Wrażenie... – zaczęła niepewnie. – Jest inna. Czujesz, że coś jest nie tak.

– A mnie się wydaje... – Sabina zbliżyła się wolno, ale ze zwinnością kota. – Że mnie wkręcasz, droga Haniu.

Uszczypała ją w nos paznokciem, na co Hanka pisnęła.

– Co robicie? Planujecie coś beze mnie? – Gabi zbiegła ze schodów, niemal gubiąc nogi. Telewizor na piętrze wciąż rzępolił.

– Planujemy coś zajebistego. – Sabina ujęła obie dziewczyny i przyciągnęła do siebie. Była wyższa od nich i Hanka natychmiast poczuła się jak zasmarkany uczeń.

– Co wy na to, jeśli zamiast oglądać filmy i grać w durne kalambury, pospieszamy ducha ze skrzyżowania?

Nawet jeśli chciały zaprotestować, Sabina nie dała im szansy. Zostały pociągnięte na górę, gdzie ułożyły poduszki na szerokim parapecie. Hanka otrzymała niewdzięczną rolę taszczenia prowiantu z kuchni.

– Co zrobimy, jeśli się pojawi? – pytała Gabi, przeżuwając ciasto.

– Wypchniemy cię i pójdiesz się przywitać. – Zarechotała Sabina.

Początkowo minuty schodziły im na żartach i obgadywaniu co lepszych chłopaków ze szkoły.

– Sądysz, że Kamil zaprosi cię na studniówkę? – dociekała Sabina.

– Nie wiem, to przecież jeszcze całe dwa lata. – Hanka spiekła raka.

– Chodzi mi o jego studniówkę, głąbie. Myślę, że on leci na ciebie.

– Wątpię.

– Zauważyłaś jak mu pęcznieją dzinsy, gdy stoi blisko ciebie?

Gabi złapała się pokazowo za szyję.

– OBLEŚNE!

Przepychały się wśród pisków i chichotów, aż w końcu Sabina uniosła dłonie w geście poddania.

– Dobra, ludzie, wywieszamy białą flagę! – Zsunęła się z parapetu. – Duch nas olał, a ja robię się śpiąca. Hania, mogę zająć sypialnię twoich starych...?

Gabi też o coś pytała, ale do Hanki dotarł jedynie bełkot. Cała jej uwaga skupiła się na widoku za oknem, za zasłoną kropli, które teraz wyglądały jak pajęcza kotara. Wstrzymała

oddech. Blisko skrzyżowania czterech ulic ktoś stał. Ktoś drobny i skulony wpatrujący się w lśniący bruk.

– Co ty, obudź się... – Gabi ją szturchnęła, ale Hanka zakłęła pod nosem.

– Tam ktoś stoi – szepnęła.

– No, czasem macie tu przechodniów, fascynujące. – Sabina po raz kolejny przewróciła oczami.

W odpowiedzi Hanka pociągnęła ją boleśnie za ramię i wskazała punkt blisko sygnalizacji.

– Ciemno jak w dupie, ale kogoś chyba widzę – zawyrokowała Gabi.

Hanka otworzyła usta, ze zdumieniem odkrywając jak bardzo wyschły. Nie bała się, nie wierzyła w duchy, a przynajmniej nie do końca, ale wizja nieżywej dziewczyny, pojawiającej się w miejscu własnej śmierci, łatwo przejmowała kontrolę nad wyobraźnią.

– To ona – powiedziała, ledwo artykułując słowa.

Przyjaciółki wbiły w nią oczy. Gabi z żywym zainteresowaniem, Sabina z kiełkującą litością.

– Okej, już nie musisz się zgrywać – prychnęła. – Przedstawienie zakończone. Dziewczyna ze skrzyżowania robi wrażenie, ale potrzeba odrobinę więcej, żeby się porobiła w majtki.

W tym samym momencie samotne auto przecięło jezdnię w dół. Światła reflektorów omiotły postać czekającą w deszczu. Nie mogło być mowy o pomyłce. Na kilka sekund dziewczyna zrobiła się przezroczysta.

Pokój wypełniły przerywane oddechy. Każda widziała, ale żadna nie chciała się odezwać. Słowa potrafiły złamać zakłęcie między nieszkodliwą opowieścią, a rzeczywistością.

– Pieprzę, idę tam – warknęła Sabina i skoczyła do drzwi sypialni.

Hanka ocknęła się dopiero, gdy wysokie obcasy zastukały na schodach.

– Czekaj! – ryknęła. – Co robisz?!

– Idę do twojej kumpeli z przeciwka!

– Odbiło ci?!

Hanka i Gabi wpadły do holu, ale Sabina już otwierała drzwi.

– Nie możesz...!

– Nie mogę czego dokładnie? – Sabina skrzywiła wargi. Na tle zasuwającego deszczu, z rozwianymi włosami, sama przypominała upiora. – Nie mogę wam pokazać, że historia ze skrzyżowaniem to bujda?

Odwróciła się na pięcie.

– Nie musisz tego robić! – krzyknęła jeszcze Hania. Chciała powiedzieć: „Nie rób tego!”, ale to zabrzmiałoby zbyt rozpaczliwie.

– Ale chcę! – brzmiała odpowiedź, a potem za Sabina zamknęły się drzwi.

Lipiec, tydzień później

– Możesz opisać jeszcze raz, dokładnie i powoli, co wydarzyło się tamtego wieczoru?

Głos funkcjonariuszki dudnił wewnątrz pomieszczenia punktowany jedynie cykaniem naściennego zegara. Łyse mury komendy policji zakleszczały Hankę swoją ordynarnością. Żadnego punktu by skupić wzrok. Do rozmów z dziewczynami zawsze wystawiali kobiety. Pewnie, żeby nie straszyć świadków, albo coś. Hanka chciała mówić, ale słowa tłoczyły się w gardle niczym knoty.

– Organizowałaś przyjęcie urodzinowe. Czy to się zgadza?

Skinęła głową.

– Siedziałyście w twoim pokoju na piętrze. Ty, Sabina oraz Gabriela.

– Gabi.

– Słucham? – Policjantka zamrugła oczami.

– Nikt nie mówi na nią Gabriela, nawet rodzice – wyszeptwała Hania, doskonale rozumiejąc, że przyjaciółka była w pokoju obok, składając identyczne zeznania. – Zawsze Gabi.

– Gabi nie jest specjalnie kooperatywna – stwierdziła kobieta. – Nie chce nawet pokiwać głową.

Hanka nabrała powietrza, a funkcjonariuszka pochyliła się tak blisko, że mogła zliczyć piegi na jej haczykowatym nosie.

– Dlaczego Sabina wyszła? Przecież była ulewa...

Zacisnęła powieki. Niechętnie, bo wtedy zawsze wracała do tamtego momentu. Sabina w otwartych drzwiach, pierwsze krople spływające z jej włosów. Wyraz twarzy wciąż tak pewny siebie.

– To przez ducha – wychrypiała Hania.

Policjantka założyła ręce na piersi.

– Jakiego znowu ducha?

– Opowiedziałam jej tę historię o Skrzyżowaniu Legionów.

Brwi kobiety zniżały się coraz bardziej, ale usta pozostały bez wyrazu. Profesjonalizm do bólu.

– Wy, dzieciaki, dalej się tym straszycie?

– To tylko opowiadka...

– Owszem, ale dzisiaj rozmawiamy o realnym wydarzeniu.

Hanka przełknęła ślinę. Gardło miała gryzące od piasku. Nie skorzystała z wody mineralnej, którą jej przynieśli.

– Tamtej nocy zobaczyliśmy kogoś w deszczu na skrzyżowaniu.

– Kogo?

– Nie wiem, jakąś dziewczynę. – Dłonie Hani trzęsły się tak mocno, że musiała je spleść. Funkcjonariuszce nie umknął żaden szczegół.

– Sabina postanowiła iść i pokazać nam, że to nie duch.

– I tak też zrobiła.

Hanka nie czuła potrzeby skinienia głową. W pewnym sensie byłoby łatwiej, gdyby Sabinę porwała mafia, albo gdyby potracił ją samochód. Tragedia, ale wytłumaczalna. Coś co zarówno ona i Gabi, jak i dorośli, potrafiliby zrozumieć.

– Powiedz, co wydarzyło się potem?

Hanka wstrzymała oddech.

– Sabina nie wróciła.

Tykanie ściennego zegara nagle wydało się o wiele głośniejsze.

– A później?

– Później zadzwoniłyśmy na policję.

Sierpień

Minęły trzy tygodnie od rozmowy Hani z policjantką, kiedy znaleźli ciało Sabiny. Wszystko odbyło się z mniejszym dramatyzmem, niż podejrzewała.

Pewnego dnia rano matka i ojciec nie poszli do pracy. Na kanapie, z telewizorem ustawionym na czternastodniową prognozę pogody wyjaśnili pompatycznymi głosami, że służby wiedzą, gdzie jest Sabina. Darowali szczegóły, ale Hanka sama do nich dotarła. Zwłoki wepchnięto do koryta niewielkiego strumyczka biegnącego wzdłuż drogi krajowej numer siedemdziesiąt pięć. Pracownicy niedalekiej restauracji i kierowcy tirów jako pierwsi zanotowali nieprzyjemny zapach. Ciało leżało w wodzie długie tygodnie. Koroner potrzebował dokumentacji dentystycznej, by zidentyfikować Sabinę, ale mimo długich badań nie potrafił odpowiedzieć w jaki sposób zginęła.

– Wciąż zachodzę w głowę co ona tam robiła? – Tego samego wieczoru ojciec siedział przy kuchennym stole, podczas gdy matka szykowała kolację.

Hania popijała gorącą herbatę owocową. Za każdym razem, gdy odkładała filiżankę, porcelana klekotała o spodek.

– Chodzi ci o ten strumyk? – pytała cicho matka.

Światło spod okapnika rzucało na ich trójkę poblask, jakby byli pierwotnymi ludźmi skupionymi przy ognisku, gotowymi na atak nieznanego.

– Krajowa numer siedemdziesiąt pięć to trochę więcej niż rzut beretem. Jakoś musiała się tam dostać.

Matka pokręciła głową, nieco zbyt energicznie mieszając sałatę z oliwą.

– To mogło się stać już po fakcie. – Wykonała gest, kątem oka zerkając w stronę Hani. Ojciec miał uważać na język. Bali się wpływu na psychikę nastolatki i takie tam. Hanka chciała tylko gorzko się roześmiać.

– Nie mam za bardzo apetytu – mruknęła, kończąc herbatę. – Pójdę do siebie i włączę komputer.

Ojciec zatrzymał ją w połowie schodów i przywołał do siebie.

– Chcesz porozmawiać? – Unikał jej wzroku.

– Nie bardzo.

– Ale ja chcę. Chodź.

Przeszli do salonu, a matka zamknęła drzwi kuchni. Po chwili rozległ się odgłos miksera.

Ojciec zaprosił ją gestem na sofę. Kolana Hanka ugiwały się, jakby była robotem.

– To nie twoja wina.

Zdębiała, ale tylko na parę sekund. Ojciec nigdy nie należał do delikatnych rozmówców.

– Szkoła zamieściła klepsydrę na mediach społecznościowych. – Hania przygryzła wargę. – Siedem tysięcy komentarzy. Sabina była lubiana.

– To nie twoja wina.

Nie zamierzał odpuścić, a ona wolno godziła się z faktem, że musieli odbyć tę rozmowę.

– Chciałam ją zatrzymać – szepnęła.

Ciężka dłoń opadła na ramię i zmierzwiła bawełniany podkoszulek.

– Nic nie mogłaś zrobić. Sabina miała własny rozum.

– Ale to przez...

– Przez co?

Miała na końcu języka by się wygadać, a wtedy ojciec powiedział:

– Chyba nie straszylaś swoich koleżanek tymi durnymi opowieściami o Skrzyżowaniu Legionów?

Przymknęła oczy.

– No, coś ty. Nie jestem przedszkolakiem. Nikt nie wierzy w te bzdury.

– A na pewno nie trójka licealistek z głową na karku. – Ojciec posłał, w swoim mniemaniu, krzepiący uśmiech.

– Rozumiem, tato. Po prostu wszystko stało się za szybko.

Odpuścił w końcu, ale dopiero po obietnicy, że gdy pogorszy się jej nastrój, natychmiast przyjdzie do niego albo do matki.

Hania zawlokła się po schodach na drugie piętro. Każdy stopień przypominał Giewont. Oparta o framugę drzwi własnego pokoju, zerknęła na parapet, gdzie miesiąc temu droczyła się z Sabiną i Gabi. Przymknęła oczy. Dlaczego nie dano człowiekowi zdolności cofania czasu? Ledwie przestąpiła próg, zreflektowała się, że ojciec znowu pożyczył bezprzewodową mysz z jej komputera. Z westchnieniem ruszyła do jego gabinetu. Różowe



urządzenie obklejone kolekcjonerskimi nalepkami z serii gier Persona nie pasowało do skórzanego fotela, dębowego biurka oraz szkiców mostów, które wykonywał dla swojej firmy. Porządek wrzeszczał z każdego kąta i kazał stawać na baczność.

– Czas kupić swoją mysz, nie sądzisz? – powiedziała do dyplomu ojca otrzymanego za zasługi dla pracodawcy.

Udem zahaczyła o szufladę. Mięsień zabołał, więc syknęła i już miała zasunąć mebel, gdy coś zwróciło jej uwagę. Na dnie leżały stare gazety. Wydania lokalne i krakowskie. Sprawy zaginionych dziewczyn. Do niektórych doczepiono późniejsze wycinki z kontynuacją historii, co zwykle oznaczało znalezienie rozkładających się zwłok. Kilka zaginięć miało miejsce w Niepołomicach, ale niektóre w Krakowie. Łączył je jeden punkt. Skrzyżowanie Legionów. Albo ofiara była ostatni raz widziana w jego okolicach, albo ciało znaleziono w pobliżu. Głównie nastolatki, żadna nie ukończyła osiemnastu lat. Drżącą ręką, Hania ujęła kilka arkuszy. Ojciec kolekcjonował je pieczołowicie, ale poza tym nie dbał o porządek. Ciekawe odkrycie, biorąc pod uwagę jak nieskazitelna była reszta jego papierów.

Pod fragmentami artykułów leżały mapy z zakreślonymi punktami, liniami nasmarowanymi długopisem w bliżej niesprecyzowanym celu. Robota detektywa-amatora. Hania chciała kontynuować przeglądanie, ale ostatecznie zasunęła szufladę i wyprostowała się. Bardzo cicho, by nawet stając na korytarzu, nikt nie mógł jej usłyszeć. Chłód rozpoczął wędrówkę wzdłuż kręgosłupa i nie planował odejść. Trudne do opisanego przeświadczenie, że zobaczyła coś czego nie powinna, a jednocześnie, że los specjalnie wyłożył to na jej drodze. Przyciskając mysz, opuściła gabinet ojca.

## Wrzesień

Pogrzeb Sabiny zorganizowano tuż przed rozpoczęciem roku szkolnego. Śledztwo utknęło w martwym punkcie, ale życie musiało toczyć się dalej. Białą trumnę przyozdobiono morzem kwiatów. Spoczywała na katafalku, gdzie każdy mógł podejść i oddać ostatni hołd zmarłej. Hania poszła razem z rodzicami. Gabi również, ale nie odezwały się do siebie. Nawet nie siedziały w jednej ławce na mszy. Ilekroć Hania próbowała odszukać przyjaciółkę wzrokiem, ta odwracała twarz. Inni ludzie z klasy, których wydelegowała dyrekcja liceum, posyłali jej przydługie, smutne grymasy. Tak jakby wiedzieli jak to jest, kiedy osoba, którą

się podziwia, wraca po miesiącu w worku koronera. Rodzice mogli powtarzać, ile chcieli, że niczym nie zawiniła, ale opowieść Hanka nakręciła Sabinę. Wiedziała to.

Po rozpoczęciu roku szkolnego sądziła, że będzie tylko gorzej, ale o dziwo lekcje i kontakt z ludźmi, innymi niż Gabi, pozwolił odsunąć całe zdarzenie na dalsze tory. Czas nie leczy ran, ale zdecydowanie uczy się z nimi oswajać. Reszta uczniów zdawała się w ogóle nie pamiętać o Sabinie. Tylko blednąca ulotka o jej zaginięciu, wciąż szpeciła tablicę ogłoszeń. Hanka zerwała ją na przerwie, dwa tygodnie po rozpoczęciu zajęć. Palcami zmięła kartkę. Już miała odejść, gdy zastopowało ją czyjeś chrząknięcie. Stary woźny szorował mopem posadzkę, na której uczniowie rozdeptali świeżą zapiekankę z bufetu.

– Szkoda dziewczyny, co? – mruknął, czołem wskazując papier, który Hania wciąż trzymała w dłoni.

– Byłam na jej pogrzebie – odparła, niby próbując się usprawiedliwić. – Znałyśmy się. Starzec przerwał czyszczenie i otarł pot z tysej czaszki.

– Kolejna tragedia na tym cholernym skrzyżowaniu... – Umilkł, ewidentnie zdając sobie sprawę, że przekleństwa w szkole są nie na miejscu. Ale ciekawość Hanka została pobudzona. Ani na moment nie zapomniała o kolekcji artykułów z szuflady ojca.

– Chodzi panu o Skrzyżowanie Legionów? Mieszkam w Niepołomicach, naprzeciwko tego przejścia.

Nadal milczał.

– Wierzy pan w widmo? – wypaliła w końcu.

Otworzył usta, ale szybko zamknął je na powrót. Ostatecznie włożył ręce do kieszeni i oparł się biodrem o ścianę. Z przeciwnego krańca korytarza nadeszła sprzątaczką, a to oznaczało koniec rozmowy. Hania stała jeszcze moment, obserwując jak wymieniają uwagi na temat pastowania podłogi w nieużywanych klasach. Krótco potem odwróciła się na pięcie i odeszła.

Tego popołudnia nie miała jak wrócić do domu. Uciekł jej autobus, a matka wcześniej wysłała wiadomość, że jest na zakupach i nie może podjechać do Krakowa. Ojciec był niedostępny do szóstej wieczorem. Stała w głównym holu, zastanawiając się co robić, gdy ktoś klepnął ją w ramię.

– Hej, wrastasz korzeniami? – Kamil uśmiechał się od ucha do ucha.

Nosił sportową bluzę i dresy, a włosy wciąż miał wilgotne od potu. Przypomniała sobie, że mimo rozpoczęcia klasy maturalnej, nadal trenował piłkę nożną i był nawet w szkolnej reprezentacji.

– Myślę jak wrócić do domu – odparła.

– Nie masz co myśleć. Podwiozę cię. – Mrugnął porozumiewawczo.

– Odkąd to jest ci po drodze do Niepołomic?

– Od dzisiaj. – Był już w drzwiach i nie pozostało jej nic innego, jak ruszyć za nim.

Wysłuzonego sedana zaparkował przy śmietniku. Wsiadła, ignorując gnijące zapachy.

– Nie rozmawiasz ostatnio z Gabi – zagadnął, kiedy stali w korku na starym mieście.

Uroki chodzenia do renomowanego liceum w zabytkowej części Krakowa.

– Jakoś tak wyszło...

– Wcześniej byliście nierozłączne. To przez Sabinę, prawda? – Spoważniał, wciskając gaz na zielonym. – Ciężka sprawa, tak po prostu nie wróciła. Musi ci być cholernie ciężko.

Kamil był gadułą i tym razem przeklinała opatrność za tą cechę.

– Daję radę.

Wykręcała palce, chciała coś powiedzieć, ale imię Sabiny odebrało jej chęć na głębszą rozmowę. Musiała normalnie żyć. Ta cała tragedia nie była jej winą. Tak jak powiedział ojciec.

– Szykujesz się już na studniówkę? – zapytała.

– Wow, nawet o tym nie myślałem. – Roześmiał się z zakłopotaniem. – Imprezy mnie jakoś mało interesują. Zwłaszcza, że wcześniej mamy ważny mecz.

Rozgadał się o swojej drużynie i planach pójścia na krakowski AWF. Kiwała głową, raz po raz rzucając zdawkowe uwagi. Rozumiała, że przepuszcza okazję, ale wjeżdżali już na tereny mniej zabudowane. Kiedy po obu stronach drogi wyrosła puszcza, Kamil zjechał na pobocze. Wskazał grupki ludzi maszerujące z przystanku autobusowego.

– Będzie okej, jeśli wysadzę cię tutaj?

– Jasne. – Zreflektowała się. Idea, że podwiezie ją pod sam dom, była od początku idiotyczna.

Wysiadła i od razu zarzuciła plecak na ramię. Pochyliła się przy spuszczonej szybie.

– Dzięki. Do zobaczenia jutro.

Zasalutował przez szybę.

– Może wpadniesz na mój następny mecz?

Zarumieniła się, ale nie mógł widzieć, bo niskie, wrześnie słońce padało jej prosto na plecy.

– Byłoby super.

Wyszczrzył się przez szybę.

– Zgadamy się.

Odjechał, wzniecając pył na asfalcie. Patrzyła za nim chwilę, ale kiedy minęły ją dwie starsze kobiety objuczone zakupami z targu, podażyła ich śladem. Przejście poboczem, od strony puszczy, nie zajmowało wiele czasu. Góra dwadzieścia minut, jeśli szło się umiarkowanym tempem i pogoda dopisywała. Hanka pełną piersią wdychała zapach lasu. Chociaż znała go dobrze od czasów dzieciństwa, tego dnia pachniał wyjątkowo świeżo. Musiało upłynąć dobrych kilka minut beztroskiego marszu, nim zdała sobie sprawę, że podczas spaceru będzie musiała minąć Skrzyżowanie Legionów.

Myśl wsiąkała powoli i na początku ją ignorowała – co mogło jej grozić w otoczeniu innych ludzi? Wokół śmigły samochody, a pasażerowie busów i autobusów rozchodzili się do okolicznych domów. Niepołomice nie były końcem świata. Cała ta historia z widmem nawiedzającym przejście dla pieszych i podejrzanymi zgonami młodych dziewczyn wydała się jej prymitywna i nudna. I taki stan ducha utrzymała zadziwiająco długo. Dopóki nie spadły pierwsze krople deszczu.

Nie zanotowała od razu, bo słońce wciąż świeciło nad lasem. Z małej chmurki zrobiła się większa, a dopiero potem nadciągnęły kolejne. Okolica pociemniała i Hania przyspieszyła kroku. No, tak. Będzie mijać skrzyżowanie w deszczu. Normalna sprawa. Kobiety przed nią ochroniły głowy siatkami i również narzuciły tempo. Prawie biegły. A kiedy ponownie odszukała je wzrokiem, zniknęły.

Hanka stanęła. Wokół nie było nikogo, a opad przybierał na sile. Po kilku minutach ubranie kompletnie przemokło, a włosy mogła wykręcać. Zrobiło się też o wiele zimniej. Dłoń, którą ścisnęła ramię plecaka, niemal do niego przymarzła. Przed nią, za zakrętem, majaczyło Skrzyżowanie Legionów.

Teoretycznie powinna była widzieć swój dom, ale ściana deszczu przesłaniała świat. Jedyne mrugające lampy trefnej sygnalizacji rozpraszały mrok. Wahała się. Ucieczka nie wchodziła w grę. Do domu miała już naprawdę blisko.

Wykonała krok, a potem następny. Woda młóciła twarz. Serce łomotało w piersi. A potem usłyszała kroki, niemrawe człapanie podeszwy w namokniętym gruncie. Odwróciła się, zerkając tylko kątem oka. Zgarbiona postać szła w jej kierunku. Powłóczyła nogami, jakby trzymała się prosto tylko dzięki niewidzialnym linom.

Deszcz oślepił ją na sekundę i tyle wystarczyło, by postać znalazła się bliżej. Na tyle blisko, by dostrzegła szczegóły. Mężczyzna średniego wzrostu, w przemoczonym ubraniu. Taksował ją szeroko rozwartymi oczami, a na ich dnie rozpoznawała pustkę. I coś jeszcze. Obojętność. Skierował głowę tak, że mruganie zepsutej sygnalizacji nadawało blask źrenicom. Wskrzesało w nich życie.

– Tato – wyszeptała.



# ZIARNO

Marcin Grablewski

Syntetyczna kawa sączyła się powoli do kubka ozdobionego rysunkiem kota astronauty. Po tylu latach był już przyzwyczajony do jej dziwnego, metalicznego posmaku, a mimo to wzdrygnął się trochę na myśl o sensacjach smakowych, których zaraz przyjdzie mu doznawać. Nie wyobrażał sobie jednak poranka bez kawy - nawet tak sztucznej jak ta; nawet

na takim, zapomnianym przez wszystkich kawałku skalnego pustkowia.

„Jeszcze dwa dni... Dwa dni i nigdy więcej nie będę musiał pić tych robocich szczyń.”

Maszyna krótkim sykiem i cichym sygnałem oznajmiła, że napój jest gotowy. Wziął do ręki kubek, usadowił się z nim przed stacją monitorowania i uruchomił skanowanie systemów stacji. Nogi jak zawsze wylądowały na krawędzi pulpitu, plecy rozparły się w trzeszczącym krześle. Kawa małymi porcjami zaczęła spływać do gardła. Ale myślami był już zupełnie gdzie indziej.

Dziesięć lat. Dziesięć lat samotnej służby na kolejnych stacjach wydobywczych, jako, jak to się zwykło ładnie nazywać: ADMINISTRATOR UTRZYMANIA WYDOBYCIA. W rzeczywistości było to stanowisko pośrednie pomiędzy cieciem, sprzątaczem, złotą rączką i ochroniarzem. Robota nie była może tragicznie ciężka, ale ze względu na warunki zdecydowanie nie każdy się do niej nadawał. Firma znajdowała sobie planetkę lub księżyc, na którym znajdowały się wystarczająco duże pokłady rud metali albo innego dobra. Najpierw na powierzchni lądowały automatyczne procesory atmosferyczne. Po paru latach, kiedy procesory znormalizowały sytuację, instalowano systemy wydobywcze. A na sam koniec zrzucono modułowy barak, w którym przez najbliższy rok miał rezydować lokalny administrator. Po roku następowała zmiana warty – pierwszy wracał na Ziemię, zastępował go kolejny i tak aż do momentu, kiedy wydobywanie w danym miejscu przestawało się opłacać.

Posiadanie samotniczej lub introwertycznej natury było praktycznie niezbędnym warunkiem, jaki należało spełniać, aby dać sobie radę, pracując w ten sposób. Oczywiście, videorozmowy z bazą prowadzone były regularnie, niezależnie od potrzeb, ponieważ firmowi psychiatrzy stwierdzili, że pomagają one w utrzymaniu morale. Ale przez rok czasu samotność i przytłoczenie niewielkim rozmiarem klatki, w której spędzało się kolejne dni potrafiło zająć ludziom za skórę i namieszać w głowie. Na placówce nie można też było liczyć na zbytnie luksusy. Niewielka sypialnia z jeszcze mniejszą łazienką i upchniętym w niej automatem piorącym, kuchnia z rozkładanym, jednoosobowym stoliczkiem oraz zajmującym dziewięćdziesiąt procent przestrzeni automatem nutryfikacyjnym, który przygotowywał syntetyczne jedzenie i napoje, niewielki kąt z szafą na ubrania i rzeczy osobiste oraz największa z wymienionych stacja monitorowania, pełna ekranów i sprzętu elektronicznego, służącego do obsługi stacji oraz kontaktu z bazą na Ziemi.

Howard już dawno zapomniał o niewygodach serwowanych mu przez codzienność, przeżywaną w takich okolicznościach. Żywił się i motywował tym, co czeka na niego po zakończeniu ostatniego roku służby. Za dwa dni przyleci statek, który zabierze go na Ziemię. Po badaniach i przymusowych krótkich wakacjach, na jakie wysyłany jest każdy powracający

z placówki administrator, firma ma mu zaoferować wysokie stanowisko w dziale szkoleń, jako nagrodę za te wszystkie lata nienagannej pracy. Będzie w końcu mógł zostać na Ziemi, zarabiać dużo więcej kredytów i, co najważniejsze, będzie mógł je w końcu wydawać. Przyszłość, która rysowała się przed nim w różowych barwach była już na wyciągnięcie ręki – jak upragniony deszcz po długiej tułaczce po pustyni.

Ze świata fantazji, niespodziewanym strzałem prosto w twarz, wyrwał go drażniący sygnał alarmowy. Z głośników dało się słyszeć spokojny, ale złowieszczo brzmiący kobiecy głos:

*Skanowanie systemów zakończone. Wykryto uszkodzenie poziomego pierwszego w module komunikacji dalekiego zasięgu. Brak możliwości zdalnej analizy – wymagana interwencja administratora.*

Próba połączenia się z najbliższą uszkodzonemu modułowi kamerą nie powiodła się – na ekranie widoczny był tylko szum, co sugerowało, że ona również mogła zostać uszkodzona. Howard przebierał palcami po klawiaturze, wydając kolejne komendy. Pędził jednocześnie wzrokiem po zalewających ekran informacjach i po cichu przeklinał pod nosem. Na szczęście główne systemy bazy, w tym te wydobywcze, pracowały dalej bez przeszkód. Zgodnie z wynikami analizy, uszkodzona została tylko wielka, przypominająca kształtem odwrócony parasol, antena. Odpowiadała ona za szerokopasmową komunikację oraz skanowanie terenu planety – w innej sytuacji mogłoby to być dość groźne i wymagać alarmowej interwencji z bazy na Ziemi, co równałoby się przekreśleniu dziesięcioletniej, „bezawaryjnej” passy Howarda. Jednakże zarówno jego zastępstwo, jak i materiałowe posiłki z wszystkimi niezbędnymi częściami były już w drodze i powinny wylądować tu za około czterdzieści osiem godzin. W ostateczności może teraz nawet usiąść z założonymi rękami i po prostu poczekać.

Jednak wrodzone, czy może bardziej wytrenowane, poczucie obowiązku nie pozwalało mu zignorować tej sytuacji. Być może samo w sobie nie było wystarczającym bodźcem – w końcu coś takiego, na dwa dni przed końcem służby stwarzało zagrożenie i był tego świadomy. Coś może pójść nie tak, coś może pokrzyżować jego plany, może doznać jakiegoś uszczerbku na zdrowiu i wrócić na Ziemię jako inwalida. Jednak w obecnej chwili niósł go po części zastrzyk adrenaliny, którego dostarczył mu niespodziewany alarm, a po części zaś niemalże namacalne zakończenie nudnego i znojnego etapu w dotychczasowej karierze. Kto wie – może na koniec jeszcze zostanie samotnym bohaterem, który do ostatniego dnia walczył dzielnie na wysuniętej placówce?

Postanowił wyruszyć jak najszybciej – im prędzej zweryfikuje z czym ma do



czynienia, tym prędzej naprawi co się da. Po powrocie złoży stosowny raport, zrobi sobie podwójną kawę i wróci do planowania swojej świetlanej przyszłości. Wcisnął się w roboczy kombinezon i zatknął w jego wyprofilowane kieszenie podręczne narzędzia. Wychylił ostatni łyk kawy z kubka, założył roboczy kask oraz gogle i wyszedł z baraku. Podmuchy wiatru niosące zwykle tumany kurzu i małych kamieni nie dokuczały tak bardzo, jak się spodziewał, dlatego zrezygnował z wkładania maski ochronnej. Warunki atmosferyczne sprzyjały, widoczność niezła, a sama antena umiejscowiona była za niewielkim wzgórzem, parę minut drogi na północ. Howard odczepił mocowanie brezentowej płachty, mającej chronić przed zanieczyszczeniem ukrytego pod nią quada, wsiadł na niego i odpalił silnik. Pojazdy tego typu dobrze sprawdzały się jako patrolowce. Zostały dostosowane do przewożenia większego ładunku narzędzi i materiałów do napraw, poprzez zabudowanie tylnej części siedziska – miejsce dla drugiego pasażera było przecież w warunkach ich eksploatacji całkowicie zbyteczne. Po chwili quad ruszył przed siebie, rozrzucając na boki kamienie i wzbijając za sobą chmurę żółtawego pyłu.

Po paru minutach dotarł na miejsce. Uszkodzenia anten czy innego sprzętu zwykle bywały niewielkie i były to zazwyczaj usterki mechaniczne, wynikające ze zużywania się części i niesprzyjających warunków atmosferycznych. Tu jakieś pęknięcie poszycia, tam odrapane przez wietrzny, kamienny „peeling” warstwy ochronne czy zerwana izolacja – nic czego nie dałoby się z marszu załatać lub wymienić. Przez te wszystkie lata, za każdym razem udawało mu się to bez problemów. Najdłuższe naprawy trwały kilka godzin i przytrafiły mu się w trzecim roku służby, na planecie, na której wydobywanie zostało (decyzją jakiegoś narwańca z centrali) rozpoczęte przed zakończeniem standardowego procesu klimatyzacji powierzchni. Zbyt krótka praca procesorów przełożyła się na naprawę nieciekawe i poddające sprzęt testom wytrzymałościowym warunki – porywisty, pełen skalnych odłamków wiatr oraz gwałtowne burze. W takiej sytuacji sprzęt musiał prędzej czy później zacząć się sypać i pech chciał, że huragan przetoczył się przez stację wydobywania akurat za jego kadencji. Po wszystkim jakiś tydzień musiał wychodzić z zakwasów, a odciski na dłoniach zniknęły dopiero po miesiącu.

To, co zobaczył teraz, nieprzyjemnie zagrało mu na nerwach w głębi żołądka i zjeżyło włos na głowie. W wielkim talerzu szerokopasmowej anteny widniała wypalona na wylot, okrągła dziura, na oko mająca kilka metrów średnicy. Po kącie, pod jakim antena była ustawiona, szybko wydedukował, że to, co spowodowało uszkodzenie, musiało z dużą prędkością spaść z orbity, przepalić powierzchnię anteny w momencie uderzenia i wbić się gdzieś w rozpadlinę zaraz za nią. Jego umysł gorączkowo poszukiwał wytłumaczenia, co

mogło być przyczyną zniszczeń. Meteoryt? Odłamek skalny? Większy kawałek dryfujących w przestrzeni kosmicznych śmieci, który z niewiadomego powodu jako jedyny spadł i trafił akurat tutaj? Ale żadne z powyższych rozwiązań nie wydawało mu się prawidłowe. Miał pojęcie o prawach fizyki i astronomii. Wiedział, że nawet odłamek, który zacznie spalenie, wchodząc w atmosferę, nie będzie w stanie utrzymać temperatury na takim poziomie, żeby uderzając w antenę, przepalić ją na wylot. Materiał, z jakiego była wykonana, był tak mocny, że wymagałby traktowania palnikami laserowymi, aby uzyskać podobny efekt. A jednak coś przepaliło się przez niego, jak żarzący się papieros przez bawełniany podkoszulek – szybko, punktowo, nie niszcząc struktury całości. Przy uszkodzeniu kinetycznym zniszczenia wyglądałyby zupełnie inaczej.

Wahał się trochę, ale niezdrowa ciekawość wzięła górę nad chłodną kalkulacją. Musiał dowiedzieć się, co spowodowało uszkodzenia, chociażby po to, żeby mieć potem co zaraportować do centrali. Odruchowo wyciągnął ze skrzynki przymocowanej do quada ciężki klucz hydrauliczny. Zważył go w dłoni i zaczął powoli obchodzić antenę, wypatrując czegokolwiek nietypowego. Pierwszy raz od początku jego kariery przemknęło mu po karku uczucie prawdziwego strachu. Tego pierwotnego, zakorzenionego gdzieś w czeluściach ludzkiego genomu. Zawsze brał pod uwagę możliwość, że przez rok może na przykład zwichnąć sobie kostkę czy nawet złamać rękę. Ale to były zagrożenia, które był w stanie w różny sposób mitygować. Teraz poczuł coś innego. Czy to samo czuł tysiące lat wcześniej człowiek wchodzący do jaskini i obawiający się dzikich zwierząt, które mogły wyskoczyć na niego z ciemności? Ten elektryczny dreszcz, stawiający na baczność włosy na karku?

Zacisnął mocniej dłoń na niesionym kluczu i mruknął pod nosem: „Ogarnij się! Dziesięć lat odwalasz bezproblemowo tę robotę, tym razem też się uda. Sprawdź co trzeba i wracaj – za dwa dni to wszystko nie będzie miało żadnego znaczenia!” Za anteną, w miejscu, w którym musiał spać ten tajemniczy obiekt, rozpoczynał się długi pas rozpadlin i nierównych kamiennych wzgórz. Duże, stłoczone na siebie, skalne bloki przypominały trochę kamieniste wybrzeże w czasie odpływu, tyle że w jakieś trzykrotnie większej skali. Howard nie musiał długo się przez nie przedzierać. Przepchnął się przez szczelinę w pierwszej linii głazów i po chwili znalazł się na skraju osłoniętej niecki. Na jej dnie spostrzegł to, czego szukał. Sądząc po trajektorii zdecydowanie to, co przepaliło antenę. Ale co to właściwie było?

Na pierwszy rzut oka, wyglądało jak idealnie okrągła wielka kropla smoły. Chociaż nie – czerń, którą widział przed sobą była tak niezgłębiona, że pochłaniała nawet światło, które padało na nią. Zdawała się mienić i lekko drżeć, ale być może to była tylko iluzja. Ludzkie oko nie wydawało się być stworzone do percepcji tego, co akurat Howard widział

przed sobą. Stał tak przez chwilę bez ruchu, wpatrując się w hipnotyzującą czerń. Z transu nie wyrwał go nawet jego wewnętrzny głos, który z całej siły krzyczał w każdej komórce ciała – UCIEKAJ! Włosy na karku stały na baczność i gdyby przejechał po nich ręką, to prawdopodobnie zaczęłyby iskrzyć.

Niskie tony czegoś, co przypominało elektryczne buczenie transformatora, wlewały mu się do uszu, zagłuszając nawet szum wiatru. Zamrugał nagle gwałtownie i potrząsnął głową - buczenie trochę przycichło. Odłożył klucz na ziemię, i nie odrywając wzroku od czarnej osobliwości, zaczął powoli schodzić w głąb niecki, asekurując się rękoma. Musiał sprawdzić na co natrafił. Musiał to zbadać, może pobrać próbkę, jeśli mu się uda. W centrali będą z tego bardzo zadowoleni, nawet mimo tej nieszczęsnej anteny. Kto wie – może to, co napotkał okaże się jakimś przełomowym odkryciem? Niezbadanym dotąd pierwiastkiem z przestrzeni, o niesamowitych właściwościach? To byłoby już nie tyle wisienką na torcie jego kariery, a całym pieprzonym wiśniowym sadem, w którym ten tort będzie serwowany.

Wyciągnął z kieszeni niewielki pojemnik z metalicznym proszkiem uszczelniającym. Po pozbyciu się zawartości, powinien nadać się do pobrania małej próbki, o ile ta substancja jej nie przepali. Nie wydawała się gorąca, być może już ostygła i tak łatwo niczego nie zniszczy? Chyba, że to jakiś rodzaj kwasu, to może... Jeden pechowy kamień osunął się pod nieuważnym naciskiem stopy. Krawędź niecki była wystarczająco stroma, by całkowicie stracić równowagę. Pech chciał, że Howard zamiast odchylić się do tyłu i wylądować na plecach, wyhamowując niekontrolowany ruch w dół, próbował ją łapać, zbiegając. Upuścił pojemnik, próbował balansować rękami, ale zrozumiał, że mu się nie uda. Rozpędzony runął wprost w niezbadaną czarną substancję.

Nie widział i nie słyszał niczego. Przez chwilę próbował analizować w głowie ostatnie kilkanaście sekund i zrozumieć, co tak naprawdę się stało. Nie żyje? Mózg funkcjonował, był świadomy, jednakże całkowite odcięcie od praktycznie wszystkich zmysłów było zbyt dużym szokiem, aby z marszu odnaleźć się w tej sytuacji. Próbował poruszyć kończynami. Wiedział i czuł, że je ma, ale nie wiedział, czy wykonują jakiś ruch. Czuł, jakby lewitował w nieskończonej ciemności, która otulała go tak szczelnie, jak tylko było to możliwe, całkowicie krępując całe ciało. Wiedział, że oddycha, ale nie słyszał świstu wciąganego i wypuszczanego z płuc powietrza. Nie czuł charakterystycznej, lekko nieprzyjemnej woni swojego „kawowego oddechu”. Słyszał tylko to metaliczne buczenie, ale nie był w stanie stwierdzić czy ma ono jakieś zewnętrzne źródło.

Mijał czas, a on tkwił w tej nicości. Ile minęło? Minuty? Godziny? Cały czas gorączkowo myślał, analizował ostatnie wydarzenia i próbował sobie to wszystko poukładać,

wyjaśnić i finalnie znaleźć jakieś wyjście. Panika w jego głowie powoli zaczynała wydostawać się spod kontroli racjonalnej części umysłu. Jak pożar niesiony porywistym wiatrem, powoli obejmowała coraz większe połacie terenu, ale z pełną mocą miała eksplodować dopiero parę chwil później. Poczul delikatny, punktowy nacisk na czubku głowy. Potem zaczęły pojawiać się kolejne... Przez chwilę pomyślał o pierwszych spadających kropkach deszczu, ledwo odczuwalnych przez ubranie. Poczul nawet jego rześki zapach, przed oczami zobaczył siebie samego leżącego na łące. Delikatne, przyjemnie ciepłe kropelki spadały coraz gęstsza chmurą... To dobrze znane, przyjemne uczucie, jak miłe wspomnienie z dzieciństwa... Tyle, że nie był już dzieckiem i nie leżał na łące, którą zaczął podlewać rześkisty, wiosenny deszcz...

Ocknął się, spoliczkowany nagłym uświadomieniem sobie swojej sytuacji i płomień paniki zapłonął na nowo. Wyobraźnia podsunęła mu inny, zdecydowanie mniej przyjemny obraz tego, co się działo. Leżał owinięty szczelnie czymś przypominającym czarną folię lub gumę. Setki małych palców naciskały przez jego kokon, próbując zbadać zawartość. Tak, ta wersja wydarzeń była zdecydowanie bliższa temu, co aktualnie przeżywał. Ciemność „opukiwała” jednocześnie każdy centymetr jego ciała. Nacisk trochę się zwiększył i teraz całkowicie przypominał już dotknięcia palcami. Odruchowo próbował zacisnąć powieki i usta, ale na nich również poczul badawczy nacisk niewidzialnych macek. Panika eksplodowała bezgłośnie w głowie Howarda, kiedy poczul, że parcie na zaciśnięte usta zaczyna się zwiększać. Ciemność, której macki „zbadaly” już całe jego ciało z zewnątrz, forsowała sobie teraz drogę do wnętrza, poprzez pierwszą możliwą szczelinę, na jaką natrafiła. Bezwonna, bezsmakowa, bezkształtna masa wdzierala się do jego ust. Bezskutecznie próbował je zaciskać. Przez głowę przelatywał mu film obrzydliwych skojarzeń. Walczył jeszcze przez chwilę, ale wiedział, że dłużej nie będzie w stanie się przeciwstawić narastającej sile. Ciemność zwyciężyła, odbierając mu resztki tchu i świadomości.

Odpłynął...

Niewielki statek transportowy zawisł na chwilę parę metrów nad powierzchnią lądowiska, wzbijając w powietrze solidne pokłady pyłu, po czym niedbale osiadł na jego płycie. Rampa załadunkowa otworzyła się niemal natychmiast i z trzewi maszyny zaczęła wyjeżdżać kawalkada automatycznych robotów transportowych, obładowanych skrzyniami. Na koniec po trapie zjechał niewielki pojazd, w którym siedziało dwóch mężczyzn. Ruszył od razu w kierunku znajdującego się nieopodal modułowego baraku, który dla jednego z nich miał stać się domem, przynajmniej przez najbliższy rok. Gdy dojechali na miejsce, na

spotkanie wyszedł im dotychczasowy „pan i władca okolicznych ziem” – administrator Howard. Mężczyźni szybko wysiedli z pojazdu i wymienili z gospodarzem mocne uściski dłoni.

– Miło w końcu spotkać legendę na żywo – powiedział pierwszy z mężczyzn, uśmiechając się nieznacznie. – Jestem Dobrovski i będę miał przyjemność odstawić cię do bazy na zasłużony wypoczynek. A to Twój następca – administrator Hill.

– Hhoward...

– Już rozpoczęliśmy rozładunek, ale z godzinkę pewnie zajmie, patrząc po ilości towaru, jaką mi zapakowali do fury. W międzyczasie z bazy przyszły informacje, że pojawiły się jakieś problemy z anteną? Dostałem polecenie, żeby na nią zerknąć...

– Ttak.. Nnie uwierzycie co się z nią stało... Mmusicie zobaczyć to na własne oczy...

– Mamy chwilę, więc może skoczmy tam teraz? To nie powinno długo zająć, a chętnie wproszę się jeszcze na szybką kawę przed odlotem.

– Jjasne, jedźmy od razu.

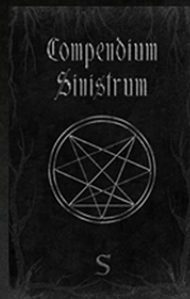
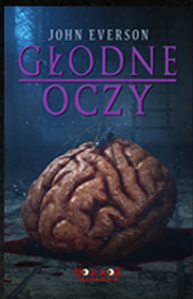
Kwadrans później, na dnie niecki znajdującej się w rozpadlinie za uszkodzoną anteną pilot oraz nowy administrator przecierali oczy ze zdumienia. Obaj przykucnęli i ze zdumieniem przyglądali się z bliska mieniącej się i lekko drżącej, niezgłębionej czerni.

– Co to jest do jasnej cholery? To jest żywe czy to jakiś metal? Chłopie, za samo odkrycie czegoś takiego firma cię ozłoci! – gorączkował się Hill

– Trzeba wrócić do samochodu po pojemniki. Koniecznie musimy pobrać przynajmniej ze dwie próbki i zawieźć je na Ziemi...

Niespodziewane, silne uderzenie kluczem hydraulicznym w plecy zaskoczyło najpierw kapitana transportowca, a potem nowego administratora. Najpierw jeden, a chwilę później drugi, polecili do przodu, lądując wprost w pulsującej czerni, która szybko pochłonęła całkowicie ich ciała. Zdawała się przy tym pulsować i drżeć odrobinę szybciej. Powietrze wypełniło metaliczne buczenie. Howard z kluczem w dłoni stał nieopodal, uśmiechając się w niepokojący sposób, przywodzący na myśl finałową scenę ze starego, klasycznego horroru. Żrenice jego oczu pulsowały niezgłębioną czernią.

– Nnie martwcie się... – wyszeptał – zabierzemy na Ziemię dość próbek, żeby wystarczyło dla każdego...



# GRAFIKA | OKŁADKI | PLAKATY

✉ [jo.widomska@gmail.com](mailto:jo.widomska@gmail.com)

📘 By Widomska    📷 by\_widomska

